

Powiat



Nr 3-4 (193-194), Marzec-Kwiecień 2017
Rok XVII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

*Pogodnych
Świąt!*

To ludzie mają władzę...

Bohaterowie czy bandyci?

Ach te niedziele...

Czas oczekiwania

Głodna świata...

Pątniczy szlak

Podróż do Edo

Zarabianie przez internet

Wieś Tworząca



Zdjęcia: J. Maziejuk

XVIII WOJEWÓDZKI KONKURS PLASTYCZNY „WIELKANOC NA POMORZU”

KOŃCZEWO,
KWIECIEŃ 2017





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat

SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Każdy, kto zapoznał się z porządkiem obrad ostatniej sesji Rady Powiatu Słupskiego na pewno zauważył, że większość uchwał dotyczyła inwestycji drogowych. Nie mogło być inaczej, jeżeli w budżecie na ten rok, na drogi przeznaczyliśmy ponad 20 mln zł! Prawie 13 mln w tej kwocie to środki spoza budżetu - z Programu Rozwoju Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej, Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich oraz z budżetów samorządów gminnych i nadleśnictw. Inwestycje drogowe po raz pierwszy będziemy realizować we wszystkich gminach powiatu.

Smuci jednak, że jeszcze wiele odcinków dróg nie spełnia naszych oczekiwań. Ale co się dziwić, jeżeli system finansowania dróg lokalnych w Polsce, w tym dróg powiatowych jest bardzo ułomny. Tymczasem ich przebudowa jest najbardziej kosztochłonna działalnością samorządów. To właśnie sprawia, że pojawia się wyraźny rozdźwięk pomiędzy oczekiwaniami mieszkańców a możliwościami finansowymi samorządów.

W szczególnie trudnej sytuacji są zwłaszcza te powiaty, które - podobnie jak słupski - posiadają wiele kilometrów dróg. Powiat nasz pod tym względem jest w krajowej czo-

łówce. Mamy ponad 700 kilometrów dróg. W prostej linii to prawie tyle, ile ze Słupska do Zakopanego! Przebudowa kilometrowego odcinka kosztuje ok. 1 mln zł, cały budżet powiatu to ok. 90 mln zł i jeżeli przeznaczamy, tak jak w tym roku 20 mln zł na drogi, to jak na nasze możliwości budżetowe to bardzo dobry wynik. Podaję te liczby, żeby pokazać jak z trudnym zadaniem musimy się mierzyć.

Ktoś może powiedzieć: w Polsce powstają drogi ekspresowe i autostrady. Dziś już znacznie łatwiej poruszać się z północy na południe czy z zachodu na wschód niż było

jeszcze to możliwe dekadę temu. Ale, niestety nas to nie dotyczy, bo tak długo oczekiwana droga ekspresowa S6 łącząca Szczecin z aglomeracją trójmiejską może nie być w najbliższym czasie zbudowana. W najlepszym razie powstanie z pominięciem regionu słupskiego. Zostawi nasz region jako jeden z najbardziej wykluczonych komunikacyjnie w kraju.

Tymczasem kiepski stan infrastruktury drogowej jest istotną barierą rozwoju regionów - hamuje ich aktywność gospodarczą, obniża atrakcyjność inwestycyjną oraz konkurencyjność.

W numerze:

- 2 Inwestycje drogowe
- 2 Poszerzanie współpracy
- 3 Zdrowie dzieci i młodzieży
- 3 Wysoka licytacja
- 3 Modernizacja linii 405
- 4 Stypendia Starosty
- 4 Babska rywalizacja
- 4 Dawny sprzęt
- 5 Nowa wystawa
- 5 „Łajba 2017”
- 5 Bursztynowe Nuty Poezji
- 6 To ludzie mają władzę...



Politycy w walce o swoje racje politycznego bytu (lub niebytu) grają patriotyzmem i honorem żołnierza, jakby na jakimś świątecznym jarmarku grali w kości.

12 Ach te niedziele...



Niedziela, jak w tradycji chrześcijańskiej się utarło, należała głównie do Pana Boga i dopiero to, co z niej pozostawało, mogliśmy sobie dowolnie dzielić na drobne świeckie przyjemności.

14 Psi obowiązek

- 15 Nowocześniejsza edukacja
- 16 Doktor mający nadzieję
- 17 Zbliża się wieczna samotność...
- 19 Było nam tu lepiej, jak na Kresach
- 21 Czas Oczekiwania



Dawniej wodą spryskiwano dom, by rok był spokojny. Podsycono ogień i wrzucano do niego leszczyny. Popiół rozrzucono w dniu pierwszej orki, co miało zapewnić szczęście i dostatek.

23 Ważne rocznice

24 Głodna świata...



- Krew się lała, tży, zaciskałam zęby, tak bardzo chciałam się nauczyć pięknej sztuki, jaką jest wykonywanie witraży - mówi Małgorzata Bąkowska - malarka z Ustki.

26 Mój Kraków

27 Pątniczcy szlak



W roku 1982 Rada Europy zatwierdziła Szlak św. Jakuba jako znaczący dla kultury europejskiej i wystosowała apel o troskę o istniejące i odnowę zapomnianych dróg.

29 Przygoda z historią i wojskiem



W Słupsku działa Grupa Rekonstrukcji Historycznej

„Grzmot” - pierwsza na ziemi słupskiej, krzewiąca tradycję 1. Morskiego Pułku Strzelców z Wejherowa.

32 Podróż do Edo



Japońskie drzeworyty ukiyo-e z prywatnej kolekcji Jerzego Leskowicza wystawiono w Muzeum Narodowym w Warszawie.

33 Jedyna taka atrakcja

34 M/s „Batory” w służbie Marsowi

36 Zarabianie przez internet

Zdarza się, że zaścynowani kolorowymi obrazkami, często obietnicami bez pokrycia, podejmujemy pochopne kroki, które mogą okazać się nieodwracalne.

38 Na co uważać w sklepie

40 Targi Ogrodnicze

10 Żołnierze wyklęci - bohaterowie, czy bandyci?



Obejmując stanowisko wójta byłem stosunkowo młodym człowiekiem, musiałem dużo nauczyć się w krótkim czasie. Na szczęście dobrze znałem specyfikę gminy, a przede wszystkim ludzi.

Inwestycje drogowe

Znane są już odcinki dróg powiatowych, które zostaną przebudowane w 2017 roku. Podczas marcowej (28.03.) sesji Rady Powiatu Słupskiego radni podjęli uchwały dotyczące inwestycji, które będą realizowane.

Największa inwestycja to przebudowa drogi Dobieszewo - Gogolewko, której koszt zamknie się kwotą 7 mln zł. Zdaniem starosty Zdzisława Kołodziejskiego tak duża inwestycja jest możliwa dzięki pozyskaniu na ten cel dofinansowania z Programu Rozwoju Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej. Powiat otrzymał dotację na ten odcinek drogi w wysokości 3 mln zł.

Inną inwestycją, która również będzie realizowana przy udziale środków zewnętrznych to przebudowa odcinka drogi powiatowej od granicy miejscowości Wysoka do granicy gminy Smóldzino. To zadanie kosztować

będzie 4,1 mln zł, z czego 2,7 mln zł to dofinansowanie z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich.

Do budżetu na 2017 rok wpisanych zostało jeszcze kilkanaście innych, mniejszych inwestycji, które współfinansowane będą z samorządami gminnymi. Jak poinformował starosta Kołodziejski, cieszy fakt, że prace drogowe prowadzone będą na terenie wszystkich gmin w powiecie.

Łączny koszt inwestycji prowadzonych na drogach powiatowych zamknie się w br. kwotą ponad 20 mln zł, z czego 7,2 mln to środki z budżetu powiatu, 6,9 mln z budżetów gmin i prawie 6 mln zł to pozyskane środki zewnętrzne. Na sesji przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego Jan Olech pogratulował zarządowi skuteczności w pozyskiwaniu środków zewnętrznych oraz podziękował wójtom za wsparcie finansowe, które samorządy gmin przekazują na realizację inwestycji drogowych w powiecie.



Fot. J. Maziejuk

Powiat słupski przygotowuje się już do kolejnych inwestycji. Opracowywana jest dokumentacja na drogi, na które powiat będzie ubiegał się o dofinansowanie ministerialne. Chodzi o drogi Barcino - Łosino oraz Przewłoka - Objazda.

Na marcowej sesji radni przyjęli sprawozdania z działalności Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, Powiatowego Urzędu Pracy, z realizacji zadań finansowanych ze środków PFRON, z realizacji zadań dotyczących rehabilitacji zawo-

dowej oraz zatrudnienia osób niepełnosprawnych w 2016 roku, podjęli uchwały: w sprawie określenia zadań, na które przeznaczy się środki PFRON w 2017 roku, w sprawie powierzenia miastu Słupsk zadania polegającego na wykonaniu badań USG stawów biodrowych u niemowląt z powiatu, a także w sprawie dostosowania sieci szkół ponadgimnazjalnych i szkół specjalnych do nowego ustroju szkolnego na okres od 1 września 2017 do 31 sierpnia 2019 roku. (P.L.)

Poszerzanie współpracy

Przedstawiciele Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce, Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku, Zespołu Szkół w Redzikowie, Ochotniczej Straży Pożarnej z Włynkowa wzięli udział w giełdzie partnerów wymiany polsko-niemieckiej w Ratzeburgu, połączonej z warsztatami dla koordynatorów międzynarodowych spotkań młodzieży.

Giełda pod hasłem „Spójrz w przyszłość” została zorganizowana w ramach długoletniej partnerskiej współpracy powiatów - słupskiego i niemieckiego Herzogtum Lauenburg. Wzięło w niej udział osiem instytucji z partnerskich powiatów, po cztery z każdego, które chcą nawiązać współpracę i w nadchodzących latach zorganizować wymianę młodzieży oraz pracowników swoich jednostek.

Celem spotkania było poszukiwanie pomysłów na wspól-

ne projekty, prezentacja metod pracy z młodzieżą i dorosłymi, omówienie finansowania planowanych działań. Uczestnicy zaprezentowali swoje organizacje i



Fot. A. v. Krasowicki

ich działania w pracy z młodzieżą. Delegacja powiatu słupskiego odwiedziła w czasie pobytu w Niemczech organizacje partnerskie oraz spotkała się ze starostą powiatu Herzogtum Lauenburg dr Mager na uroczystej kolacji.

Program pobytu przygotowali pracownicy starostw w Rat-

zeburgu i Słupsku oraz Międzynarodowego Centrum Studiów i Spotkań im. Dietricha Bonhoeffera ze Szczecina. Spotkanie w Ratzeburgu zaowocowało wieloma pomysłami na przyszłe partnerstwa i projekty wymia-

ny dzieci oraz młodzieży. Taką współpracę nawiąże Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii w Ustce z organizacją Gleis 21+ Stelwerk z Ratzeburga, podległą Diakonisches Werk Herzogtum Lauenburg i z Albinus-Gemeinschaftsschule z Lauenburga. Zespół Szkół Agrotechnicznych ze

Słupska zacznie współpracować z Berufsbildungszentrum (Centrum Kształcenia Zawodowego) z Mölln i Geesthacht. Natomiast Zespół Szkół z Redzikowa z Marion-Dönhoff-Gymnasium w Mölln, w ramach partnerstwa zawiązanego w 2016 roku będzie realizował wspólny projekt, a Młodzieżowa Grupa OSP z Włynkowa wspólny projekt będzie realizować ze strażakami z Freiwillige Jugendfeuerwehr Nüsse, także w ramach partnerstwa zawiązanego w 2016 roku.

Jeszcze w tym roku powinno dojść też do spotkania przedstawicieli Słowińskiego Parku Narodowego z przedstawicielami Parku Uhlenkolk z Mölln oraz Zintegrowanej Stacji Ochrony Przyrody z Parku „Lauenburskie Jeziora”. Współpracą z organizacjami z powiatu Herzogtum Lauenburg zainteresowane są jeszcze inne instytucje z powiatu słupskiego, dlatego projekt „Giełda partnerów - Spójrz w przyszłość” będzie kontynuowany. Kolejną jego edycję zaplanowano na wiosnę 2018 roku. (A.K.)

Zdrowie dzieci i młodzieży

Okolo 150 nauczycieli, pedagogów, psychologów i innych specjalistów oświaty wzięło udział w XII konferencji z cyklu „Zdrowie dzieci i młodzieży – Oni są wśród nas. Uczeń przewlekle chory w społeczności szkolnej”.

Konferencja odbyła się w Akademii Pomorskiej w Słupsku. Honorowy patronat objęli: Marek Michalak - rzecznik praw dziecka, Mieczysław Struk - marszałek województwa pomorskiego oraz Monika Kończyk - pomorski kurator oświaty. Prowadzone analizy dotyczące zdrowia oraz jego ochrony wśród dzieci i młodzieży wskazują na wiele schorzeń, z jakim oni i ich rodzice borykają się na co dzień. Te

ważne problemy były właśnie tematem konferencji zorganizowanej przez Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli w Słupsku, Starostwo Powiatowe i Akademię Pomorską.

Większość wystąpień przygotowali naukowcy z Instytu-

tu Pedagogiki i Pracy Socjalnej Akademii Pomorskiej. Dr Danna Apanel mówiła o pracy z dzieckiem przewlekle chorym w warunkach szkolnych, dr Sebastian Zdończyk - o psychospołecznych aspektach choroby nowotworowej u dzieci i młodzieży, dr Anna Koprowicz - o psychologicznych problemach

rodziców dzieci z zaburzeniami rozwoju.

Dr Maria Aleksandrovic przedstawiła system wsparcia rodzin z dziećmi przewlekle chorymi, lek med. Jarosław Kaczmarek z Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. Janusza Korczaka w Słupsku omówił zaburzenia konwersyjne u dzieci i młodzieży, a lek. med. Leszek Dębicki, pediatra i alergolog - choroby alergiczne w kontekście edukacji dzieci.

Podczas paneli dyskutowano o współpracy z rodzicami uczniów przewlekle chorych jako warunku koniecznym i jednym z głównych obszarów pracy szkoły, a także o pracy z uczniami z zaburzeniami zachowania jako wyzwaniu dla współczesnej szkoły. (D.R.)



Fot. J. Maziejuk

Wysoka licytacja

Ponad 25 tys. zł przyniósł XIII Bal Charytatywny, który odbył się pod honorowym patronatem Starosty Słupskiego w Dolinie Charlotty. Za pieniądze te Mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej w Machowinku będą mieli ciekawsze wakacje i lepiej wyposażoną pracownię terapeutyczną.

Bal organizuje Stowarzyszenie Osób Niepełnosprawnych „Przyjaciół” z Domem Pomocy Społecznej w Macho-

winku. W Dolinie Charlotty odbył się już dwanaście razy! Tym razem znakomita oprawa muzyczna oraz aukcja była dziełem Arkadiusza Mięczewskiego ze Słupska. Licytacja obrazów, różnych gadżetów i prezentów przyniosła prawie 15 tys. zł, po doliczeniu zysku z organizacji balu zebrało się blisko 25 tysięcy!

Z prac wykonanych przez mieszkańców DPS najdrożej - za 500 zł wylicytowano poduszkę wyhaftowaną przez Anetkę - jedną z podopiecznych. Wysoko licytowano też prezenty

przekazane przez darczyńców. Na przykład te od starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejskiego, wicestarosty Rafała Konona i przewodniczącego Rady Powiatu Słupskiego Jana Olecha przyniosły łącznie 1.550 zł. Najwyższą sumę zapłacili państwo Elwira i Dariusz Ruła - 1.700 zł za voucher weekendowy dla dwóch osób w Dolinie Charlotty, ufundowany przez firmę Serkol ze Słupska.

Warto też odnotować, że obrazy państwa Mazur wylicytowano za 1.800 zł, a voucher i bilety na koncert grupy YES

podczas tegorocznego Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty (prezent od Mirosława Wawrowskiego) - za 1.700 zł. Prezenty firmy Tchibo wylicytowano za 1.600 zł. Darczyńcami byli też jeszcze m.in.: Ceramika MK, Restauracja „Syrenka” w Ustce, Apteka „Dbam o zdrowie”, Świat Mydła CH Jantar, Euro-Time, Wójt Gminy Ustka, Gastima, Anna Czernikiewicz, Małgorzata Wójtowicz, Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku, Firma Ralf, Sklep „Słowik” i Piekarnia „Domin” z Dębnicy Kaszubskiej. (dps)



Fot. J. Maziejuk

Modernizacja linii 405

Na lutowym Konwencie Wójtów i Burmistrzów Powiatu Słupskiego podpisano umowę o modernizacji za 249 milionów złotych linii kolejowej 405 z Ustki do Miastka.

Ponad 171 milionów złotych stanowią będą środki Unii Europejskiej z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014-2020. Inwestycja będzie realizowana przez PKP PLK od granicy województwa pomorskiego przez Miastko, Słupsk do Ustki. Remont

obejmie dwadzieścia dwa perony, pięćdziesiąt trzy przejazdy kolejowe, cztery mosty, osiem wiaduktów oraz linie telekomunikacyjne i urządzenia sterowania ruchem. Na stacji w Kępicach wybudowane zostanie nowe przejście pod torami, zaś w Miastku takie przejście zostanie wyremontowane.

Umowę o modernizacji linii kolejowej podpisał w słupskim starostwie Mieczysław Struk - marszałek województwa pomorskiego z przedstawicielami PKP PLK. (P.L.)



Fot. J. Maziejuk

Stypendia Starosty

Wręczone zostały nagrody Starosty Słupskiego sportowcom i ich trenerom za wysokie wyniki uzyskane w ubiegłym roku w międzynarodowym i krajowym współzawodnictwie sportowym, stypendia sportowe na rok 2017 oraz stypendia za wyniki w nauce najlepszym uczniom szkół – mieszkańcom powiatu słupskiego.

Nagrody i stypendia wręczyli: starosta słupski Zdzisław Kołodziejewski, wicestarosta Rafał Konon i przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego - Jan Olech. Nagrody za osiągnięcia sportowe otrzymali: Klaudia Maruszewska - za zdobycie tytułu Mistrzyni Świata w rzucie oszczepem, Marcelina Witek - za zajęcie drugiego miejsca w rzucie oszczepem na Mistrzostwach Polski i trzecie-

go miejsca w pchnięciu kulą na Młodzieżowych Mistrzostwach Polski, Agnieszka Kulak - za zajęcie pierwszego miejsca w rzucie dyskiem na Mistrzostwach Polski Juniorów Młodszych, Piotr Borowiec - za zdobycie tytułu Mistrza Europy w crosmintonie, Kamil Aniszewski - za zdobycie złotego medalu w biegu na 400 m przez płotki na Mistrzostwach Polski Juniorów i Patryk Nurkowski - za zajęcie trzeciego miejsca na dystansie 200 m na Młodzieżowych Mistrzostwach Polski.

Nagrody otrzymało także trzech trenerów: Henryk Michalski - trenuje Klaudię Maruszkowską, Lucyna Kuklińska-Nurkowska - trenuje Kamila Aniszewskiego oraz Mirosław Witek - trenuje córkę Marcelinę.

Okresowe stypendia sportowe na rok 2017 przyznano w kategorii Czempion po 500 zł miesięcznie: Klaudii Maruszkowskiej, Agnieszce Kulak i Aleksandrze Karpuk, w kate-

gorii Wynik po 300 zł miesięcznie - Kamilowi Aniszewskiemu i Adrianowi Korodyńskiemu, w kategorii Talent po 200 zł miesięcznie - Bartoszowi Słomce i Karolowi Szytylce.

Stypendia Starosty Słupskiego za wyniki w nauce otrzymały Magdalena Skawińska i Andżelika Stawicka z Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku - po 100 zł miesięcznie. Należy dodać, że od drugiego semestru wypłacane są również stypendia motywacyjne ponad 100 uczniom klas pierwszych, którzy podjęli naukę w szkołach powiatu, uczęszczając na zajęcia i osiągając wymagane wyniki w nauce.

Podczas uroczystości starosta pogratulował również Kacprowi Firkowskiemu, uczniowi klasy pierwszej Technikum nr 6 w Zespole Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku za zdobycie tytułu Słupskiego Lidera Aktywności Obywatelskiej w kategorii Woltariat. (D.S.)

Babska rywalizacja

Koła Gospodyń Wiejskich z Wrześcia, Kukowa, Łebienia, Objazdy, Łosina i Stowięcina walczyły podczas Powiatowego Turnieju Kół KGW w Jezierzycach o główną nagrodę i prawo udziału w turnieju wojewódzkim. Do Luzina pojedzie KGW z Łebienia.

Turniej odbył się 25 lutego, prezentowały się na nim również panie z KGW w Kępicach, które w ubiegłym roku otrzymały Grand Prix i w tym roku nie mogły stanąć do rywalizacji. Tradycyjnie poziom był bardzo wysoki i wyrównany, a konkurencje różnorodne i zabawne. Ich uczestniczki zaskoczyły gości i zgromadzoną publiczność nie tylko dobrą kuchnią, także ciekawymi pomysłami, poczuciem humoru i występami na scenie.

Koła rywalizowały w sześciu konkurencjach. Kulinar-



Fot. J. Maziejuk

na „Ciasto z owocami” wygrało KGW z Objazdy, edukacyjną „Pokolenia” - KGW z Łosina, na strój „Kreacja - inspiracja” - KGW ze Stowięcina, na piosenkę kabaretową „Jak nie my to kto” - KGW z Łebienia, tańeczną „Z bajki” - KGW z Kukowa, a kabaretową „Gwiazdy na jezierzyckiej scenie” - KGW z Wrześcia.

Granad Prix i nagrodę Starosty Słupskiego w wysokości 3 tys. zł wywalczyło KGW z Łebienia w gminie Damnica. Ono będzie w tym roku reprezentować powiat słupski na Wojewódzkim Turnieju Kół Gospodyń Wiejskich, który odbędzie się 22 kwietnia w Luzinie.

Część artystyczną turnieju wzbogacił m.in. występ Regionalnego Zespołu Śpiewaczego „Małokończanie” z Zebrzydowic. Do Jezierzyc zaprosił go starosta słupski Zdzisław Kołodziejewski w ramach prowadzonej współpracy powiatu słupskiego z powiatem cieszyńskim. Zespół ten istnieje od 1984 roku i ma bogatą tradycję. Od wielu lat zdobywa nagrody na konkursach, przeglądach i festiwalach folklorystycznych. (CER)

Dawny sprzęt

W Domu Ludowym w Żochowie można było obejrzeć wystawę dawnego sprzętu używanego w wiejskich gospodarstwach domowych. Wystawę przygotował sołtys wsi, poeta, muzyk i pasjonat historii - Mieczysław Krymski.

Zaprezentowane zostały drobne urządzenia i narzędzia rolnicze, ogrodnicze i domowe oraz muzyczne, wideofoniczne i optyczne. Ponadto ekspozycja obejmowała także dawne wyposażenie i pomoce dydaktyczne szkół i jej uczniów wraz z lekturami, podręcznikami i przyborami szkolnymi włącznie.

Wójt gminy Dawid Litwin, który obejrzał wystawę w podziękowaniu za jej przygotowanie i w związku z 70. urodzinami wręczył panu Mieczysławowi specjalny prezent. Sołtys z Żochowa od lat jest wielkim społecznikiem, różne eksponaty gromadzi od niemal pół wieku. (s)



Nowa wystawa

W Galerii Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego (w budynku starostwa) można oglądać ekspozycję rzeźb Krzysztofa Grzejszczaka, byłego mechanizatora rolnictwa ze Słupska.

Artysta rzeźbi przede wszystkim postaci z dawnych go-

spodarstw domowych przedstawiające czynności wiejskie. Także sama natura jest jego częstą inspiracją. W jego rodzinie nie było tradycji rzeźbiarskich, ale on już w szkole podstawowej potrafił przy pomocy szczyrorka wystrugać różne figurki z mydła, kory czy mniejszych kawałków drewna. Dopiero trzynastcie lat temu stworzył pracownię i od

2005 roku całkowicie poświęcił się rzeźbiarstwu. Pod namową najbliższych zaczął pokazywać prace na jarmarkach, w Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach, w Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie, na Jarmarku Gryfitów w Słupsku. Odważył się też pokazać je w Galerii Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego. (J.B.)

„Łajba 2017”

W Słupskim Inkubatorze Technologicznym odbył się XXI Festiwal Piosenki Marynistycznej „Łajba 2017” propagujący tradycje marynistyczne. Towarzyszyły mu dwa ogólnopolskie konkursy: XIX Plastyczny, XVI Dziennikarski o „Laur Słupskich Kotwic” i II Międzyszkolny Konkurs o Tytuł Mistrza Nawigacji.

Konkursy zorganizował Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli ze Szkołą Podstawową nr 9 im. kmdra por. Stanisława Hryniewieckiego ze Słupska, a organizatorem festiwalu „Łajba” była tylko Szkoła Podstawowa nr 9. Patronujący imprezie senator RP Kazimierz Kleina podkreślił wagę i potrzebę prowadzenia edukacji morsko-żeglarskiej w różnorodnej formie. Jolanta Replin - wnuczka kmdra por. Stanisława Hryniewieckiego - patrona słupskiej „dziewiątki” wyraziła zadowolenie z nawiązanej ze słupską szkołą współpracy oraz podkreśliła też wagę wzruszeń, jakie dał

jej osobisty udział w XXI Łajbie.

Na festiwalu zaprezentowało się w sumie 41 wykonawców. Jury, któremu przewodniczył Piotr Merecki - dziennikarz radiowy, muzyk i wokalista. w kategorii solistów I miejsce przyznało Kaji Wismont ze Szkoły Podstawowej Nr 3 w Słupsku, II - Kamilowi Niemkowiczowi ze Szkoły Podstawowej Nr 1 w Ustce, a III - Karolinie Lesz-

Pomocy Dzieciom w Ustce, III - zespół SZA z Młodzieżowego Domu Kultury w Słupsku.

Jury przyznało też wyróżnienia, które otrzymali: Roksana Garbolińska z SP w Zaleskich, Sara Stolarek z SP w Słonowicach, Julia Walcerz ze Świątlicy Wiejskiej w Pobłociu, zespoły: Urwisy ze SP 3 w Słupsku, Marzenie ze SP 2 w Słupsku i Kontrapunkt ze SP 3 w Kołobrzegu.



Fot. J. Maziejuk

czyńskiej z Zespołu Szkół Samorządowych w Kobylnicy. W kategorii zespołów I miejsce zajął zespół „Kwartecik” ze Szkoły Podstawowej Nr 10 w Słupsku. II - zespół „Muszelki” z Centrum

Podczas finału festiwalu uhonorowano nagrodami, medalami i dyplomami laureatów konkursu plastycznego i dziennikarskiego. Wręczono nagrody również uczestnikom konkursu

Nawigacyjnego o tytuł Mistrza Nawigacji. Przewodniczący jury i zarazem pomysłodawca konkursu - kmdr ppor. dr Dariusz Kłoskowski z Markiem Biernackim - wiceprezydentem Słupska oraz Jerzym Sulżyckim - dyrektorem technicznym w Urzędzie Morskim w Słupsku wręczyli pamiątkowy sekstant Mistrzowi Nawigacji - Stanisławowi Chileckiemu ze Szkoły Podstawowej Nr 2 w Ustce.

Wydarzeniem było przekazanie Pawłowi Dajerowi - dyrektorowi Szkoły Podstawowej nr 9 w Słupsku Krzyża Pro Mari Nostro, przyznanego „dziewiątkę” przez Zarząd Główny Ligi Morskiej i Rzecznej w 97. rocznicę Zaślubin Polski z Morzem. Krzyż ten jest drugim - po „Pierścieniu Hallera” - honorowym odznaczeniem przyznawanym przez Ligę Morską i Rzeczną, a jego początki sięgają okresu międzywojennego. Został przyznany Szkole Podstawowej Nr 9 w dowód uznania dla działań związanych z propagowaniem edukacji morskiej na Pomorzu. (I.P.)

Bursztynowe Nuty Poezji

W Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce po raz drugi spotkali się miłośnicy poezji śpiewanej. W szkolnej auli odbył się II Usteccki Konkurs „Bursztynowe Nuty Poezji”.

Podobnie jak w roku ubiegłym impreza spotkała się z dużym zainteresowaniem uczniów i nauczycieli starszych klas szkół podstawowych, gimnazjów i szkół ponadgimnazjal-

nych. Artystyczne zmagania odbywały się w trzech kategoriach wiekowych. Młodzi artyści wykonali bardzo ambitne, trudne i wymagające utwory z repertuaru np. Marka Grechuty, Magdy Umer, Grzegorza Turnaua, Hanny Banaszak czy Boba Dylana. Nagrodzono: Martynę Kamińską ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Słupsku, Natalię Łepkowską i Marię Majchrzak - obie ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Ustce.

W kategorii gimnazjum I miejsce zdobyła Katarzyna Marciniak ze Społecznego Gimnazjum Usteckiego Towarzystwa Oświatowego, II - Julia Sochacka z Gimnazjum nr 4 w Słupsku, III - Żaklina Mike z Gimnazjum im. gen. M. Żaruskiego w Ustce.

W kategorii szkół ponadgimnazjalnych I miejsce wyśpiewała Paulina Łąga z V LO w Słupsku, II - Julia Nawacka z towarzyszącą jej na gitarze Magdaleną Kurzeją z Młodzieżowego Domu Kultury w Słupsku, III - Wanesa Dyś - również z MDK ze Słupska.

W każdej kategorii wiekowej przyznano także wyróżnienia: dla Mileny Świebody ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Słupsku, Weroniki Boruckiej z Gimnazjum nr 4 w Słupsku, Patrycji Chabernal i Patrycji Twardowskiej z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce.

Zgodnie z tradycją konkursu przyznano także specjalną nagrodę publiczności - „Bursztynową Nutkę”, którą tym razem otrzymał duet Patrycja Chabernal i Patrycja Twardowska za utwór „Miasteczko Cud”. (ZS)

- Pełnił Pan wielokrotnie funkcję wójta gminy Damnica i jest jednym z najstarszych stażem wójtów na ziemi słupskiej. Proszę sięgnąć pamięcią do okresu swojego pierwszego kontaktu z gminą i przybliżyć najważniejsze wydarzenia związane z pełnieniem funkcji wójta.

- Z damnicką ziemią jestem związany od 1963 roku, od kiedy zamieszkałem z rodzicami w Karżniczce. Zawsze interesowało mnie rolnictwo, dlatego naukę kontynuowałem w Technikum Rolniczym w Słupsku, później na Akademii Rolniczej w Szczecinie. Pracę zawodową rozpoczynałem w Stacji Oceny Odmian w Karżniczce, będąc specjalistą produkcji zwierzęcej. W damnickim urzędzie byłem zatrudniony od 1982 roku w charakterze kierownika gminnej służby rolnej i do 1991 roku zajmowałem się sprawami rolnymi oraz gospodarką gruntami. Do 2006 roku byłem wójtem gminy, później pracowałem w Powiatowym Urzędzie Pracy, a od 2010 roku pełnię ponownie funkcję wójta. Przez te wszystkie lata gmina Damnica zmieniała się i jej problemy przechodziły również ewolucję. Obejmując stanowisko wójta byłem stosunkowo młodym człowiekiem, musiałem dużo nauczyć się w krótkim czasie. Na szczęście dobrze znałem specyfikę gminy, a przede wszystkim ludzi, z którymi mam do dziś dobry kontakt. Dzięki nim zawsze wiedziałem, co mamy robić i gmina mogła rozwijać się w dobrym tempie. Dzisiejsze problemy są zdecydowanie inne, niż te z początku mojej pracy - to oczywiste. Zmieniło się oblicze całego kraju. Wszyscy z mojego pokolenia byliśmy świadkami radykalnych przemian, które spowodowały znaczący rozwój, ale jednocześnie przysporzyły dużych problemów ekonomicznych, szczególnie w środowiskach popegeerowskich. To była największa praca do wykonania - możliwie najintensywniejsza niwelacja dysonansu ekonomicznego pomiędzy oczekiwaniami świata kapitalistycznego, a pozostałościami po gospodarce socjalistycznej.

- Mam wątek osobisty związany z przynależnością gminy Damnica do Związku Miast i Gmin Dorzecza Rzeki Słupi i Łupawy, którego byłem założycielem i dyrektorem. Jak Pan wspomina ten okres?

- Nawiązuje Pan redaktor do idei z końca lat dziewięćdziesiątych, kiedy



To ludzie mają władzę...

Z Grzegorzem Jaworskim - wójtem gminy Damnica rozmawia Włodzimierz Lipczyński.

jako ówcześni samorządowcy założyliśmy Związek Miast i Gmin Dorzecza Rzeki Słupi i Łupawy. Zresztą to właśnie Pan był inicjatorem tego związku, którego celem miała być wspólna praca związana z dbałością przyrodniczą i biologiczną o obszary przy rzekach Słupi i Łupawy. W ramach działalności kluczowym było opracowanie koncepcji gospodarki wodno-ściekowej dla wielu gmin z naszego regionu, co pozwoliło rozwijać sieć wodno-kanalizacyjną. To przysłużyło się nie tyl-

ko samym mieszkańcom, zwiększając ich komfort życia, ale miało znaczący wpływ na środowisko przyrodnicze. Przypomnieć należy, że problemy związane właśnie z gospodarką wodną należały do dominujących w gminach wiejskich. Więc te działania, które podejmowaliśmy były znaczącym wsparciem rozwoju.

- Jakie są obecne problemy gminy Damnica? Sprowadzają się tylko do małego zainteresowania gminą inwestorów, czy dotyczą również

jeszcze malej integracji społeczności i ubóstwa we wsiach?

- Z pewnością zakres problemów zmieniał się w poszczególnych latach. Znaczącym dla mieszkańców było pojawienie się dużych firm na terenie gminy - Farm Frites Poland Dwa, Wosana, Poltarex, Kospel, Abatec, itp. Mieszkańcy znaleźli w nich zatrudnienie i oparcie. Oczywiście, marzą nam się kolejni inwestorzy o dużych potencjałach. Duże nadzieje wiążemy z planami budowy drogi ekspresowej S6, która przybliżyłaby naszą gminę do obszarów miejskich. Ta uzależnienie jest jednak od ostatecznych decyzji władz centralnych, czy taka droga powstanie. Z dumą z kolei obserwuję, jak zmienia się nasze społeczeństwo. Niegdyś bardziej sfrustrowane, zrezygnowane, z wielkimi obawami o przyszłość. Dziś, znaczna część mieszkańców gminy to ludzie z pomysłami, ambicjami, angażujący się w rozwój wspólnoty. Znacząco wzrosła świadomość ludzi w zakresie spraw obywatelskich, dbałości o lokalny samorząd, co także w znacznym stopniu przekłada się na większą kontrolę działań organów gminy, a zatem ma realny wpływ na decyzje podejmowane przez samorząd. Zauważam, że coraz więcej osób angażuje się w codzienne życie gminy. Mieszkańcy coraz chętniej uczestniczą w lokalnych imprezach, pielęgnują gminne tradycje, na przykład podczas dorocznych dożynek, czy dorocznego święta ziemniaka. W większości naszych wsi są aktywni liderzy, którzy pobudzają mieszkańców do wspólnych działań. Dzięki Funduszowi Sołeckiemu ludzie mają wpływ na realizowane w ich wsiach zadania, w związku z tym częściej spotykają się, rozmawiają o swoich sprawach i wspólnie podejmują decyzje, które ich bezpośrednio dotyczą. Oczywiście, nadal pozostaje do rozwiązania wiele problemów, choćby związanych z brakiem odpowiedniej liczby mieszkań socjalnych czy komunalnych. Zauważyć jednak należy, że funkcjonujący program 500+ spowodował realne podwyższenie jakości życia najuboższych.

- Z czego gmina czerpie swoje dochody?

- Zdecydowaną część naszych funduszy stanowią subwencje i dotacje. Oczywiście staramy się pozyskiwać środki z funduszy unijnych i krajowych. W ostatnim czasie pozyskaliśmy zewnętrzne środki na zada-

nia inwestycyjne, ale również na tzw. zadania miękkie, to jest na przykład na dodatkowe zajęcia w szkołach dla uczniów. Z reguły na zadania inwestycyjne dofinansowanie wynosi 70 procent kosztów kwalifikowanych. Pozostałe 30 procent musi pochodzić z wkładu własnego gminy. Ubiegły rok zamknęliśmy dobrym wynikiem finansowym: dochody wyniosły prawie 29,6 mln zł, a wydatki ponad 27,1 mln

realizację programu związanego z termomodernizacją budynków - Urzędu Gminy, Zespołu Szkół w Damnicy, Zespołu Szkół w Damnie i Zespołu Szkół w Zagórzycy. W tym roku zaplanowaliśmy na nią 1,5 mln złotych, a w przyszłym 1,2 miliona. Dofinansowanie ze środków zewnętrznych wyniesie 68 proc. kwalifikowanych środków całkowitych. Planujemy też oddać do użytku nowe mieszkania socjalne i re-



zł. Mieliśmy nadwyżkę w wysokości ponad 2,4 mln zł. Do najistotniejszych zadań należą inwestycje. W tym roku planujemy wydać na nie ponad 5,6 mln złotych. Najważniejsze dotyczą poprawy infrastruktury drogowej i poprawy gospodarki wodno - ściekowej. Między innymi zamierzamy wymienić sieć wodociągową w Wielogłowach i na Osiedlu Rybackim w Damnicy. W tym roku rozpoczniemy

mię dla Ochotniczej Straży Pożarnej w Damnicy. Sto dwadzieścia tysięcy przeznaczyliśmy w budżecie na rozbudowę oświetlenia ulicznego, dwieście tysięcy na zbudowanie boiska wielofunkcyjnego przy Zespole Szkół w Damnicy, czterysta siedemdziesiąt na zagospodarowanie terenów rekreacyjno - sportowych. Rozpoczniemy też budowę świetlicy wiejskiej w Mianowicach.

- Jak się przedstawia gospodarka rolna? Jak radzą sobie spółki prowadzące intensywną uprawę ziemniaka, zbóż? Czy ostała się produkcja zwierzęca?

- Gmina Damnica zajmuje 16 781 ha, w tym ponad 10,8 tys. ha zajmują użytki rolne (64,6 proc.), a lasy ponad 4,8 tys. ha (29,1 proc.). Zatem charakter naszej gminy jest rolniczo-leśny. Mamy zakłady związane z gospodarką leśną i żywnościową. Dominują dziedziny związane z przetwórstwem drewna. Lasami administruje Nadleśnictwo Damnica. W produkcji rolnej dominują ziemniaki, których uprawa rozwija się dynamicznie. Oczywiście największą produkcję ziemniaków prowadzi wspomniana już firma Farm Frites Poland Dwa, dostarczająca tego surowca do produkcji frytek. Indywidualni rolnicy specjalizują się w hodowli trzody chlewnej. Na podkreślenie zasługuje działalność Ośrodka Hodowli Zarodowej w Bobrownikach, który jako spółka Skarbu Państwa specjalizuje się w prowadzeniu zarodowej hodowli zwierząt, produkcji roślinnej, działalności handlowej w zakresie obrotu zwierzętami hodowlanymi, produktami i artykułami pochodzenia zwierzęcego. Głównym celem działalności spółki jest upowszechnienie postępu biologicznego, sprzedaż buhajów i jałówek hodowlanych rasy polskiej holsztyńsko-fryzyjskiej. Na naszym terenie funkcjonuje również Centralny Ośrodek Badania Odmian Roślin Uprawnych - w Karżniczce, do którego zadań należy prowadzenie usługowej działalności doświadczalnej w zakresie odmian roślin uprawnych.

- Jak można ocenić gminną infrastrukturę komunalną? Czy występują problemy zdrowotne, problemy związane z ochroną środowiska?

- Jeśli chodzi o gospodarkę wodno-ściekową to poziom skanalizowania gminy przekroczył już 90 procent. Sieć wodociągowa pokrywa cały teren gminy. Należy zaznaczyć, że stale prowadzimy prace modernizacyjne infrastruktury wodociągowej, starając się też pozyskać na ten cel środki zewnętrzne. Poprawiła się w znacznym stopniu jakość wody pitnej, bo powstały nowe hydrofornie i stacje jej uzdatniania. W najbliższym czasie mamy zamiar unowocześnić i poprawić wydajność oczyszczalni ścieków. Wspólnie z powiatem słupeckim reali-

zujemy wiele inwestycji drogowych. Poprawiamy też stan dróg gminnych. Ostatnio zakończyliśmy przebudowę Osiedla Leśnego w Damnicy, a obecnie rozpoczynamy przebudowę ulicy Przemysławskiej, przy wykorzystaniu funduszy ze środków unijnych.

Ze spraw związanych z ochroną środowiska najistotniejsza jest gospodarka odpadami komunalnymi. Od lipca 2013 obowiązuje nowy system gospodarowania odpadami. W naszej gminie zdecydowana większość mieszkańców zadeklarowała, że będzie segregować odpady. Z moich obserwacji oraz z informacji pozyskanych od firmy zbierającej odpady wynika, że system ten działa poprawnie, choć zdarzają się jeszcze pojedyncze przypadki tzw. dzikich wysypisk. Na szczęście mamy ich coraz mniej. Problem jest wyegzekwowanie płatności za odbiór śmieci od części mieszkańców. Mam jednak nadzieję, że działania, które podejmujemy, w niedługim czasie wyeliminują ten problem. Cieszy mnie, że mieszkańcy korzystają z Punktu Selektywnej Zbiórki Odpadów w Karżniczce i sami oddają kłopotliwe odpady, zamiast pozbywać się ich w sposób niedozwolony.

- Wójtów, z którymi rozmawiam zawsze pytam też, jak funkcjonują w gminach systemy oświaty, kultury. Jak dba się o bezpieczeństwo mieszkańców? Jak te sprawy przedstawiają się w gminie Damnica?

- Obowiązkiem gminy jest zapewnienie mieszkańcom bezpieczeństwa. Dlatego w ostatnich latach zakupiliśmy nowy wóz strażacki, dofinansowaliśmy zakup samochodu policyjnego. W tym roku oddamy do użytku nową remizę strażacką. W Damnicy funkcjonuje Posterunek Policji, w którym pracuje kilku funkcjonariuszy. Pomimo niedoinwestowanego budynku, wykonują oni swoje zadania w sposób należyty i ich współpracę z samorządem oceniam wysoko. Widzę, że są zaangażowani w swoją pracę i mają życzliwe podejście do mieszkańców. Prowadzimy trzy Zespoły Szkół - w Damnicy, Damnie i Zagórzycy oraz Szkołę Podstawową w Domaradzu. Szkoły te mogą pochwalić się wieloma sukcesami, ich uczniowie zdobywają laury w wielu konkursach, a wyniki egzaminów nie odbiegają od średnich wyników wojewódzkich czy krajowych. W tym roku pozyskaliśmy środki na dodatkowe zajęcia edu-

cyjne w ramach projektu dotyczącego poprawy jakości edukacji ogólnej. Objętych zostanie nim 451 uczniów szkół podstawowych i gimnazjów oraz 53 nauczycieli. Głównym celem jest poprawa jakości kształcenia ogólnego. Całkowita wartość projektu to prawie 970 tysięcy zł, kwota dofinansowania - to prawie 920 tysięcy. Jak już wcześniej zaznaczyłem, pozyskaliśmy też fundusze na termomodernizację budynków szkolnych. W związku



Fot. J. Maziejuk

z tym w najbliższych miesiącach szkoły w Damnie, Damnicy i Zagórzycy czeka poważna metamorfoza. Budynki zostaną ocieplone, otrzymają nowe okna. Wizerunek szkół sporo zyska.

Jeśli chodzi o kulturę, to mamy swoje Centrum Edukacji i Kultury, które oferuje szeroki wachlarz zajęć dla osób w każdym wieku. Organizujemy Dni Damnicy, Powiatowe Święto Ziemniaka, Dożynki, Festiwal Piosenki Wiejskiej. Od sześciu lat w okresie świąt Bożego Narodzenia w

kościół w Damnie odbywają się koncerty, podczas których występują znani polscy artyści. Mamy trzy świetlice wiejskie - w Święcichowie, Łebieniu i Domaradzu. W tym roku rozpoczniemy budowę kolejnej - w Mianowicach. Świetlicę w Domaradzu planujemy gruntownie wyremontować. Mam nadzieję, że pozyskamy na ten cel niezbędne środki z grantów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W niedalekiej przyszłości

rania o nowe inwestycje i sprawy mieszkańców. Co będzie dalej z samorządem, czy nastąpią jakieś zmiany w spojrzeniu na gminę?

- Dziękuję za dostrzeżenie naszych działań. Myślę, że u podstaw tego wszystkiego, co się nam udaje zrealizować, stoi przede wszystkim dobra współpraca z Radą Gminy, jak również zaangażowanie pracowników Urzędu Gminy i jednostek podległych. Mam pełne przekonanie

komfortowe. Mieszkańcy wnioskuje o budowę przystanku kolejowego w Łebieniu. Nie jest to sprawa łatwa, bo do jej zakończenia potrzebna jest dobra wola Urzędu Marszałkowskiego i PKP. Ponadto w najbliższych latach odcinek tej trasy kolejowej ma być gruntownie przebudowany, a mieszkańcy już chcą mieć przystanek. Nie wiemy do końca, jakie są ostateczne zamiary obu stron decyzyjnych, ale z pewnością tego problemu nie zbagatelizujemy.

- Widzę, że mocno jest Pan związany z gminą, z jej mieszkańcami. Jak Pan sądzi, czym ludzie kierują się wybierając swego wójta? Co jest dla nich najważniejsze?

- Choć nie lubię epatować swoim prywatnym życiem, to nie jest tajemnicą, że jestem żonaty i mam dwójkę dzieci. Katarzyna jest dziś studentką Politechniki Poznańskiej, a Wojciech kończy szkołę średnią w Słupsku. Prowadzę zwyczajne życie. Lubię spacerować z psem, czytam literaturę biograficzną, a w telewizji oglądam programy informacyjne i publicystyczne. Moją największą pasją jest muzyka. Lubię koncerty - te poważniejsze, ale też rozrywkowe. Sam czasem grywam na akordeonie. Dyrektor Centrum Kultury namawia mnie czasem, żebym zagrał podczas jakiejś gminnej uroczystości. Nie wręczę się do tego szczególnie, bo zdaję sobie sprawę, że ludzie dziś słuchają innej muzyki. Co tyczy się wyborów na urząd wójta, to myślę, że jest to przede wszystkim wynik mojego szacunku do mieszkańców i dobrych, a przede wszystkim uczciwych relacji z ludźmi. Zresztą nie zawsze wygrywałem wybory, te w 2006 roku przegrałem. Nie mam do nikogo pretensji, uważam, że ludzie mają prawo domagać się nowych rozwiązań, może innego spojrzenia na gminę. Życie weryfikuje jednak oczekiwania, zmieniają się nasze poglądy, wybory i widzimy, że nic samo się nie zrobi. Dlatego trzeba być skutecznym w działaniu i przede wszystkim należy słuchać ludzi, bo to oni mają prawdziwą władzę. Doświadczenia innych samorządów są pomocne, ale nie determinują działań w kierowaniu gminą, bo każda gmina jest inna, ma swoją specyfikę i potrzebuje innych rozwiązań.

- Dziękuję za rozmowę.

**Rozmawiał:
Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**



planujemy rozszerzyć działalność biblioteki gminnej i zbudować dwie filie biblioteczne. Cieszy mnie, że w zakresie spraw socjalnych, po udanej budowie mieszkań socjalnych w Karznicach przed dwoma laty, w tym roku oddamy do użytku kolejne. Skończymy bowiem w najbliższych tygodniach adaptację budynku na takie mieszkania po dawnym przedszkolu w Damnicy.

- Podziwiam gminę za dobrze działający samorząd, za duże sta-

nie, że każdej stronie zależy na przemyślanych działaniach i dostrzegam wiele ciekawych pomysłów zarówno wśród radnych, jak i pracowników. W najbliższym czasie szczególnie zależy mi na zwiększeniu miejsc dla przedszkolaków. Zamierzamy bowiem utworzyć takie miejsca w Zespole Szkół w Damnie i w Damnicy. Chciałbym też bardziej zadbać o Zakład Gospodarki Komunalnej, bo obecnie mieści się on w budynku urzędu, co nie jest zbyt

Żołnierze wyklęci – bohaterowie, czy bandyci?

Politycy w walce o swoje racje politycznego bytu (lub niebytu) grają patriotyzmem i honorem żołnierza, jakby na jakimś świątecznym jarmarku grali w kości.

Żle się stało, że tegoroczne obchody Dnia Żołnierzy Wyklętych przebiegały w dużej mierze pod znakiem politycznego jazgotu na temat „Bohaterowie, czy bandyci?” Żle się stało, że polityka w coraz większym stopniu wkracza na płaszczyzny społeczne dotychczas neutralne, w tym zwłaszcza usiłuje dla swych brudnych (komercyjnych celów) zawłaszczać historię. Że politycy w walce o swoje racje politycznego bytu (lub niebytu) grają patriotyzmem i honorem żołnierza, jakby na jakimś świątecznym jarmarku grali w kości.

W tym roku, nad czym jako pisarz książek historycznych ubolewam szczególnie, po raz pierwszy w tak znaczącym wymiarze w działania te włączyły się władze państwowe, włączył się także sam prezydent, który nieopatrznie swoimi mocno emocjonalnymi wystąpieniami sprowokował opozycję do nie zawsze godnej polityka riposty.

Występując podczas rocznicowych uroczystości, prezydent RP z zacięciem typowym dla występującego w tożsamość prawnika (i to raczej prokuratora) wykrzykiwał pod adresem młodzieży, że to właśnie postawy i zachowania walczących o wolną Polskę żołnierzy wyklętych powinny być dla niej wzorcami współczesnych zachowań patriotycznych. Powinny być wzorem do naśladowania.

Mówiąc szczerze dziwiłem się tym, którzy z ramienia IPN i organizatorów spotkań rocznicowych poświęconych żołnierzom wyklętym (niezłomnym) przygotowywali pana prezydenta, człowieka młodego, prawnika nie historyka z zawodu, do takiego stawiania sprawy polskiego patriotyzmu. No bo, gdybym to ja był dzisiaj młodym patriotą i to ja stałbym po przeciwnej stronie trybuny, to co bym sobie pomyślał? Do czego mnie pan prezydent nawołuje? Co mi zaleca, bym czynił? Miałbym iść do lasu?

Zdobyć broń, strzelać do przeciwników i walczyć z komuną? A gdzie ta komuna jest...? Kim są ci przeciwnicy, do walki z którymi współcześnie pan prezydent mnie nakłania?

Nie wiem i raczej śmiem wątpić, czy angażując się w historię żołnierzy wyklętych politycy różnych opcji, wiedzą i rozumieją do końca, czym kierowali się przywoływani przez nich AK-owcy, z kim i dlaczego prowadzili walkę i o co tak naprawdę w tej walce chodziło?

Czy w tej sytuacji można dziwić się, że powstał polityczny jazgot, z któ-

rego przesadnie, stający po przeciwnej stronie opozycjoniści starali się zbudować front politycznej walki? Front przeciwstawiający bohaterstwu żołnierzy niezłomnych czyny zbrodnicze i niegodne bohaterów? Wytworzył się tygiel, w którym zaczęto gotować zupę ze składników sobie przeciwstawnych, czyli zamiast pożywnej potrawy, jakąś trującą berbeluchę.

Od dawien dawna wiadomo, jak ważną dla narodów, dla społeczeństw, jest historia. Jak ważną ona rolę odgrywa w świadomości obywateli. Historia jest nie tylko tradycją, w oparciu o któ-



Rysuje
Zdzisław Opałko

ra trwamy i budujemy przyszłość. Jest czymś ważniejszym, bo nosi znamiona walki, ślady krwi i ogromnego poświęcenia, a zatem zawiera elementy świętości w rodzaju relikwii świętych. Jest wektorem tych wszystkich działań, poprzez które w przeszłości wszystkie narody (w tym i nasz) budowały swój byt, niepodległość i tożsamość narodową. Historii nie można zakłamywać, bo proces ten niechybnie, jak występująca czasowo z brzegów rzeka, powróci do swego koryta, czyniąc przy okazji niepotrzebne szkody.

Kim zatem byli żołnierze wyklęci? Już samo wywołanie, iż byli ludźmi wywodzącymi się z armii, wyjaśnia wiele. Byli przede wszystkim żołnierzami, składali przysięgę wojskową według obowiązujących ówczesnie zasad opartych na hasłach służebności Bogu i Ojczyźnie, z silnym podkreśleniem (akcentem na...) na honor żołnierza. Nosili mundury...

Niektórzy właśnie od sprawy mundurów rozpoczynają swe dywagacje dotyczące wątpliwości. A tymczasem sprawa jest banalnie prosta. Dopóki państwo polskie było w stanie zaopatrzyć swych żołnierzy w umundurowanie, wyklęci (głównie AK-owcy) czując się jego żołnierzami, mundury te nosili. Potem, gdy upadło państwo i przestała istnieć regularna armia, mundury (podobnie zresztą i broń) zdobywali na wrogu. Z konieczności nosili też ubiory cywilne.

Mało mówi się o tym współcześnie, że większość żołnierzy AK - współcześnie żołnierzy wyklętych wywodzi się z Kresów Rzeczypospolitej. Polityk nawołujący dzisiaj do podtrzymania walki w ich imieniu, musi mieć i tę wiedzę, i tę świadomość przede wszystkim, że AK przez długie lata wojny światowej walczyła właśnie o te ziemie. Że na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej w obszarze Wilna, gdy przestała istnieć regularna armia polska, AK odrodziła się w formie partyzantki, by walczyć przede wszystkim o utrzymanie polskości tych ziem.

Opisana przeze mnie historia 5. partyzanckiej Brygady AK z legendarnym jej przywódcą „Łupaszka” weszła do historiografii polskiej jako pierwsza tak duża jednostka bojowa prowadząca walkę z podwójnym wrogiem: niemieckim okupantem i z partyzantką sowiecką. Mało tego, weszła także do niej jako oddział funkcjonujący bez stałych baz, gdyż jakiegokolwiek ułożenie sta-

łe w terenie groziło jej natychmiastową likwidacją ze strony Rosjan.

Walka z radzieckimi partyzantami, ochrona ludności polskiej przed pacyfikacją wiosek, zaborem inwentarza i ludobójstwem, to były główne cele działalności żołnierzy wyklętych 5. Brygady Armii Krajowej.

Aż do czasu podstępnego, ze strony Rosjan, uwięzienia przywódców polskiego podziemia, częściowego rozbrojenia brygady podczas wileńskiej akcji „Ostra brama”, gdy okrążony przez Sowietów oddział „Łupaszki” musiał poświęcić swój szwadron konny, by ratować pozostałą część oddziału, wszyscy jego żołnierze zasługiwali na najwyższy szacunek, cześć i chwałę bohaterów.

Nawet wówczas, co dokładnie wyjaśniłem w swojej książce „U boku Łupaszki”, gdy doszło do odwetowej ze strony 5. Brygady AK akcji na litewską wioskę Gliniszki, podczas której w odwecie za mordy na ludności polskich wiosek, zginęło kilkudziesięciu Litwinów (Litwini podczas wojny współpracowali z Rosjanami), wartości tych nie narusza żadna skaza.

Podobnie, aczkolwiek zupełnie z innych powodów tworzyła się historia męstwa i patriotyzmu oddziałów AK walczących na obszarze Kresów Południowych Rzeczypospolitej. Tam na terenie lwowskim partyzantka polska miała inne zadania. Nie walczyła z Sowietami, mniej uwagi poświęcała Niemcom, natomiast przede wszystkim chroniła wiejską ludność polską przed ukraińskimi nacjonalistami. Napisałem o tym w książce wydanej przez IPN (2007, 2008) pt. „Wyrok Workuta”.

Dopiero zakończenie wojny, wymuszone na polskim państwie podziemnym rozwiązanie Armii Krajowej, a potem jej rozbrajanie przy pomocy podstępnej amnestii dla akowców, spowodowało zawirowania, jakie wpłynęły na dalsze losy tych samotnie podczas II wojny światowej walczących bohaterów.

AK-owcy, którzy uciekając przed Sowietami przedostali się z Kresów Wschodnich do okrojonej z jej ziem Polski, ulegali różnym wpływom, ale... Czując się oszukanymi i opuszczonymi w swej walce, nie mieli dużego wyboru. Część z nich, podobnie jak w roku 1939 postąpił rząd (zwany potem emigracyjnym), dostrzegając dalszą bezskuteczność swej walki, opuściła kraj, uciekając za granicę.

Część AK-owców, podobnie jak jeden z bohaterów mojej trylogii akowskiej „Opowiedział mi Maks” kpt. Antoni Rymśa ps. „Maks”, zaufała nowej władzy, którą na podporządkowanym sobie obszarze tworzył zwycięski ZSRR. Ujawniając się, zaufała ogłoszonej przez ówczesnego premiera Osóbkę-Morawskiego amnestii, wierząc iż nie poniesie odpowiedzialności za walkę podczas II wojny światowej w obronie wartości Polski przedwojennej. Ci bohaterowie - jak wiemy - wylapani zostali potem przez bezpiekę i trafili do ubeckich więzień i sowieckich łagrów, płacąc za to życiem lub wieloletnią niewolą i kalectwem.

Była też duża część takich, którzy jak m.in. „Łupaszka” kolejny raz uwierzyli rządowi emigracyjnemu w Londynie. Uwierzyli, że Berlin 9 maja 1945 roku nie zamyka ostatecznej walki z komunizmem i wiosną 1946 r. ruszy aliancka ofensywa przeciwko Sowietom. Ci postanowili czekać na ten moment, przygotować się do ostatecznej rozgrywki o Polskę wolną od sowieckich porządków i póki co walczyć nadal, podejmując walkę z władzą narzucaną przez ZSRR. Tworzyli nowe formacje zbrojne, m.in. w ramach AKO (Armii Krajowej Obywateli). Tworzyli oddziały leśne zwane przez władzę ludową bandami.

I dopiero wtedy, gdy okazało się, że Zachód dalszej wojny przeciwko Sowietom nie podejmie, że w swej walce polskie podziemie zbrojne pozostało samo, dopiero kiedy byli żołnierze AK zrozumieli, iż oszukano ich po raz kolejny, nie mając już innego wyjścia, postanowili walczyć do końca.

Ta walka tym różniła się od poprzedniej, że trwającym przy broni „żołnierzom wyklętym” nie pozostało już nic innego: mieli bowiem tylko dwa wyjścia - poddać się i zginąć w ubeckich katowniach, albo zginąć z honorem w walce.

Skomplikowana to sytuacja, a skomplikowane losy żołnierzy wyklętych wymagają od nas szczegółowej wiedzy i rozumienia wszystkich tych sytuacji. Inaczej nigdy nie zrozumiemy, dlaczego ktoś, kto zaszczuty jak zwierzę, dostawszy się do matni, musiał się bronić jak przysłowiowy zwierz. Dlaczego na plakatach z tej okazji - Dnia Żołnierzy Wyklętych - pojawiają się symboliczne wilki.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz

Kto z nas jeszcze pamięta czasy, gdy o wolnych sobotach można było tylko pomarzyć, gdy hasła (żądania) wolnych sobót wypisywano na sztandarach „Solidarności”, gdy walczone o nie jako o przywileje robotnicze, prawa demokracji? Weekend nie kojarzył się jeszcze z dwoma wolnymi dniami w tygodniu, a tak naprawdę był w kraju pojęciem nieznanym.

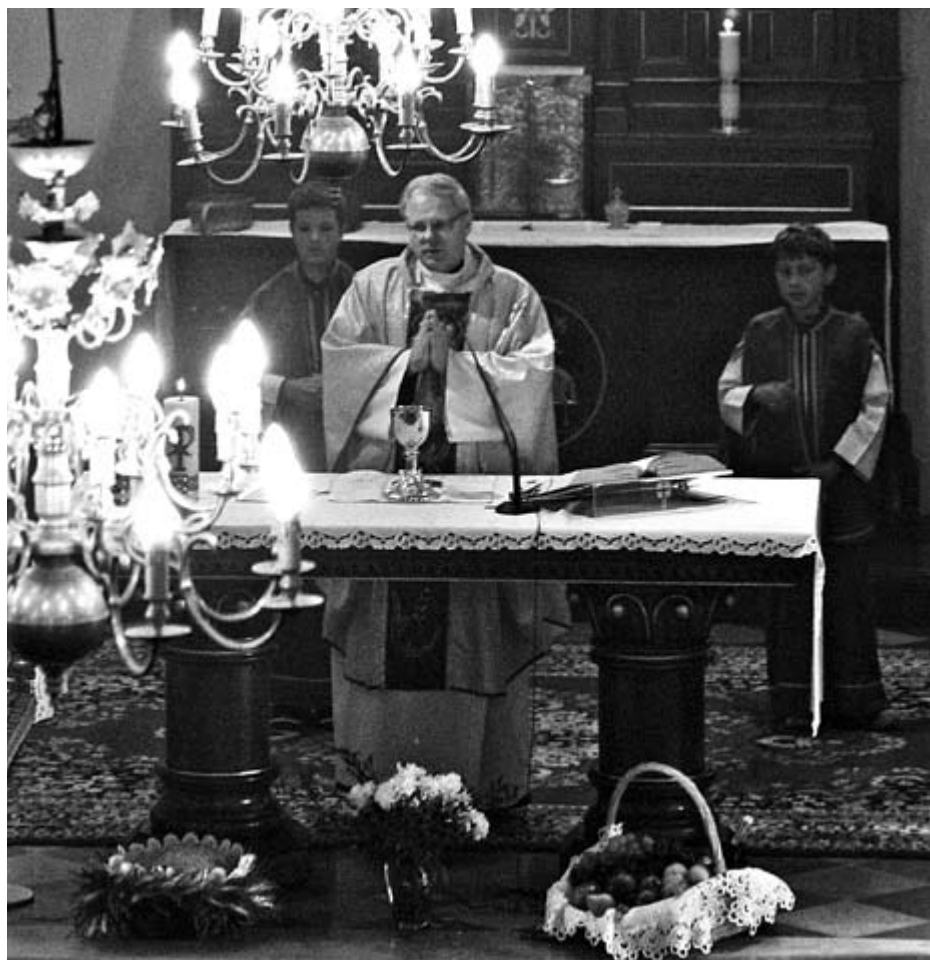
Niedziela to był dzień, który wieńczył ciężki i zapracowany tydzień. Tydzień, który także w szkole (tak w podstawówce jak i na studiach) nie miał żadnych wolnych sobót. Sobota w ogóle nie należała do jakichś uprzywilejowanych dni, nie nosiła charakteru świątecznego, jak na przykład wielki piątek, czy poniedziałek wielkanocny, lub środa popielcowa. Sobota była normalnym i o tyle różnym od pozostałych dni pracy, że w niektórych przypadkach zmniejszano nieznacznie jej godzinowy charakter zajęć; nauki, pracy (do 6-ciu godzin).

Jak ważną w takiej sytuacji rolę odgrywała niedziela? Proszę mi wierzyć, że znacznie ważniejszą, niż odgrywa obecnie. Była bardziej doceniana, bo dłużej czekaliśmy na nią, żeby odpocząć. Aby odreagować po całym tygodniu pełnym różnych zajęć, ciężkiej pracy, niedostatku wypoczynku. Lepiej, dokładniej planowaliśmy ten dzień dla siebie, dla rodziny, chociaż wiadomo - też różnie z tym bywało. Na ogół możliwości były niewielkie, bo zrobienie czegoś, co wymaga dłuższego czasu, na przykład wyjazd na wieś, w góry, nad jezioro, nie wchodziły raczej w rachubę. Nie dało się tego fizycznie wykonać.

Niedziela, jak w tradycji chrześcijańskiej się uтарыło, należała więc głównie do Pana Boga i dopiero to, co z niej pozostawało, mogliśmy sobie dowolnie dzielić na drobne świeckie przyjemności: kino, spotkania z rodziną, spacer, czy zwyczajne leniuchowanie (czytaj też - odreagowywanie od codzienności, jaką niósł dla nas tydzień).

Pamiętam niezapomniane zresztą dla mnie niedziele na wsi, gdy zaraz po śniadaniu następowało w domu szykowanie się na mszę świętą (zwaną sumą) do kościoła. Ojciec sprawdzał, czy mam porządnie wyczyszczone buty, a matka wyciągała dla mnie z szafy świeżą koszulę z białym, wycrochmalonym i porządnie wypraso-

Niedziela, jak w tradycji chrześcijańskiej się uтарыło, należała głównie do Pana Boga i dopiero to, co z niej pozostawało, mogliśmy sobie dowolnie dzielić na drobne świeckie przyjemności: kino, spotkania z rodziną, spacer, czy zwyczajne leniuchowanie.



Ach te niedziele...

wanym kołnierzykiem. Rodzice przygotowując się do wyjścia na mszę, sprawdzali też zasobność portmonetki, pamiętając, by nie zabrakło w niej drobnej monety, którą należało księdzu wrzucić do koszyka.

O tym, że część kobiet na wsi wyjście na sumę traktowało jako swoistą rewię mody, lub raczej popis przed innymi sąsiadkami ze wsi swoich możliwości w zakresie ubioru, pisał nie będąc, był to raczej margines, chociaż w niektórych sytuacjach także bardzo ważny.

Z wyjściem do kościoła natomiast wiązała się nieodłącznie celebrowanie niedzielnego obiadu, który też różnił się znacznie od pozostałych posiłków w tygodniu. Na wsi, co doskonale zapamiętałem, w tygodniu mięsa się nie jadało. I to wcale nie dlatego, że obo-

wiązywał jakiś post, bo post - czyli nie jadać mięsa - jak wszędzie obowiązywał w piątki. Wieś była za biedna, by domowników stać było na mięso w tygodniu. Stąd zapewne i niedzielny obiad był zawsze na tyle szczególny, że był obiadem mięsnym.

Do niedzielnego obiadu gospodynie przygotowywały się częściowo już w sobotę. Wtedy najczęściej bito kurę na rosół, którą wcześniej też należało oporządzić, to znaczy obedrzeć z pierza i wypatroszyć. Kura nie była przypadkowo złapanym domowym ptakiem. Matka wybierała zawsze jakąś felerną, która na przykład zaczynała kuleć, co w praktyce oznaczało, że miała chorą wątrobę i z tego powodu przestawała nieść jajka.

Jakie jeszcze mięso jadało się na niedzielny obiad? Oczywiście w okre-

sie dorastania wiosennego drobiu mógł być to kogutek. Wszelki ich nadmiar w stadzie, poza jednym dominującym kogutem, przeznaczany był albo do sprzedaży, albo do zjedzenia.

W ważniejsze (rodzinnie, obyczajowo) świąteczne niedziele jadało się także kaczkę lub gęś, a w mojej rodzinie od czasu do czasu był to też królik, gdyż ojciec z upodobaniem hodował te użyteczne zwierzęta.

W sobotnie popołudnia, wieczory, kobiety przygotowywały też makaron. Makaron na niedzielny obiad, którego podstawą najczęściej był niedzielny rosół.

Pamiętam także, że w naszej wsi była remiza strażacka. I nie tylko w Ślizowie. Ochotnicze straże pożarne funkcjonowały niemal w każdej gromadzie, a remizy były czymś w rodzaju świetlic wiejskich, w których właśnie w niedzielne popołudnia odbywały się zabawy wiejskie i potańcówki.

Potańcówki były na ogół skromniejszą formą zabawy ludowej dla lokalnych środowisk. Natomiast o większym rozmachu zabawa każdorazowo ogłaszana była plakatem na tablicy przy sklepie lub siedzibie sołtysa, przy czym powiadomienia wędrowały także do sąsiednich wsi, bo chodziło przecież nie tylko, żeby zabawić miejscową ludność, ale żeby umożliwić lokalnym kawalerom i pannom dowolność wyboru partnerów także spoza własnego środowiska.

Sala w naszej remizie miała scenę z ciężką rozsuwaną kotarą i pomieszczenie z drewnianą podłogą, które po wniesieniu długich drewnianych ław, spełniało też rolę sali wiejskich zebrań.

Przywołując ten wyjątkowy klimat wiejskiej świetlicy, nigdy nie zapomnę swojego pierwszego - nieudanego zresztą - występu, gdy na zakończenie szkoły podstawowej miałem publicznie zadeklamować napisany specjalnie na tę okazję wiersz. Wiersz dziękczynny wobec grona pedagogicznego i środowiska, które opuszczałem, udając się do szkoły w mieście (do sycowskiego liceum). Gdy kotara się rozsunęła i oczom moim ukazała się mroczna sala wypełniona wlepionymi we mnie oczami lokalnej gawiedzi, skłoniłem się i... najzwyczajniej w świecie z wrażenia zemdlałem.

A co do tych ciekawskich oczu gawiedzi, też nie jeden obraz można by było namalować. Choćby taki z usta-

wionymi pod ścianami ławami wypełnionymi wiejskimi staruchami, które już podczas zabaw ludowych nie tańczyły, ale za to z rozkoszą wpatrywały się w tańczące pary, mając potem o kim dowoli plotkować...

Oj, zapamiętałem też kilka takich zabaw, gdy musiałem z nich uciekać, kiedy zrobiło się gorąco między kawalerami w walce o pannę. Gdy miejscowe, zazdrosne o swoje dziewczyny chłopaki, podchmielone piwem lub podgrzane gorzalką jednoczyły się przeciwko intruzowi (om) z obcej wsi, gminy. Bywało, że i miała wtedy co robić miejscowa milicja.

Tak, tak. Żadnego handlu w niedzielę nie było, chyba, że wypadł w którąś z nich odpust, przyjechali zamieszcowi kramarze. No i wtedy, gdy... odbywały się wspomniane wyżej zabawy. Można wówczas było uruchomić miejscowy, towarzyszący im bufet z bigosem, kiszonymi ogórkami i gorzalką.

Tak wspominam niedziele w rodzinnej wsi. Niedziele na które czekało się cały tydzień. Gdy do tego wszystkiego od czasu do czasu przyjechało jeszcze kino objazdowe. Filmy oglądane wówczas w remizie lub latem na łące przy naszym domu, to znaczy na świeżym powietrzu, pamiętam do dzisiaj. Dziwne prawda? Zważywszy, że teraz, kiedy naoglądam się filmów na kilkunastu dostępnych nam kanałach telewizji, już po miesiącu trudno mi sobie przypomnieć ich tytuły, a często i szczegółowe akcje.

...No i te niedzielne majówki, te romantyczne niedzielne spotkania z wyperfumowanymi do przesady „Być może” i do przesady wymalowanymi, kolorowymi, pełnymi nie tylko zapachów i koralów, ale i radości, dziewczętami (pannami, koleżankami). Aż serce woła: „ale za to niedziela, niedziela była dla nas...”

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz





Psi obowiązek

Pies ma prawo do pomieszczenia chroniącego go przed zimnem, upałem, deszczem, śniegiem. Powinien mieć dostęp do światła dziennego oraz swobodę ruchu.

- Labrador! Biskoptowy! W prezencie! I ty nie chcesz! Nie ma mowy! Musisz go wziąć! - wykrzykiwał do słuchawki. Spokojnie powtarzałam argumenty, ale nic nie rozumiał. Rozmowę zakończyliśmy jakimiś bieżącymi sprawami i niedosytem. Był zawiedziony.

Pamiętałam, gdy jako dziecko prosił: „Mamo, nie mam siostry ani brata, kup mi chociaż psa.” Nie kupiłam z oczywistych względów. Mieszkanie w bloku, oboje z Pawłem pracujemy, przecież trzeba mieć litość dla zwierzęcia. Minęło trochę czasu! Teraz mieszkamy w domu na sporej działce, jestem na emeryturze. No właśnie, przecież pies pożyje dłużej niż ja, on będzie coraz silniejszy, ja słabsza. Nie, nie, nic z tego nie będzie. Paweł podzielał moje argumenty podawał kolejne, finansowe...

O szóstej rano wyrwał mnie z łóżka dzwonek telefonu.

- Halo?

- Nic nie mów, tylko słuchaj. Weź psa, nie przyjmuję żadnego tłumaczenia. Odłożył słuchawkę.

Przywieźli szczenię zgodnie z zapowiedzią. Najpierw do kuchni wpadł czarny labrador, za nim biskoptowe szczenię, i dopiero teraz zobaczyłam na podwórku gości. Nic z wypucowanych podłóg. Zaraz zrobił się piesko - ludzki zamęt, nad którym starałam się zapanować. Doskwierała mi myśl, że za kilka dni zostanę sama z odpowiedzialnością za psi los.

Przepisy ustawy z 21 sierpnia 1997 r. o ochronie zwierząt i inne precyzują wymogi pomieszczenia dla psa. Pies ma prawo do pomieszczenia chroniącego go przed zimnem, upałem, deszczem, śniegiem. Powinien mieć dostęp do światła dziennego oraz swobodę ruchu (nie może przebywać w ciemnych komórkach, piwnicach, nie może być stale uwiązany, musi być wyprowadzany na spacer). Jeżeli trzymany jest na smyczy, to

nie dłużej niż 12 godzin w ciągu doby, a łańcuch nie może być krótszy niż 3 metry. Pies powinien otrzymywać regularnie odpowiednią karmę oraz wodę.

Wszystko dobrze, tylko kto pilnuje przestrzegania prawa? Benek został z nami. Miał posłanie z własnym materacem w przedpokoju, dostałam instrukcje kulinarne i książeczkę zdrowia. Na siusiu wbiegał z podwórka na dywan w pokoju. Nie był zadowolony z miejsca noclegowego, wyraźnie wolałby chociaż kąt w łóżku. Uparcie codziennie uczyliśmy go życia w naszej rodzinie. Był to również dla nas czas nauki. Na początek wykorzystaliśmy rady Johna Grogana z powieści „Marley i ja”. Kupiliśmy nowe książki: „Mój pies się nie boi” Nicole Wilde i „Mowę ciała psów”. Pies dorastał i przyszedł czas na poznanie dalszych aspektów prawnych, do czego ma jeszcze prawo? Idąc na spacer z psem właściciel musi pamiętać o smyczy i, w zależności od rasy psa, również o kagańcu (smycz jest elementem obowiązkowym, natomiast kaganiec jest przeznaczony głównie dla ras agresywnych, wymienionych w ustawie, takich jak: amerykański pit bull terier, pies z Majorki, buldog amerykański, dog argentyński, pies kanaryjski, tosa inu, rottweiler, akbash dog, anatolian karabash, moskiewski stróżujący, owczarek kaukaski. Utrzymanie psa, który należy do jednej z wymienionych ras wymaga zezwolenia właściwego organu gminy. Ponadto w art. 10 a ust. 3 ustawy o ochronie zwierząt napisano, że „zabrania się puszczenia psów bez możliwości ich kontroli i bez oznakowania umożliwiającego identyfikację właściciela lub opiekuna.”

Przepisy stanowią, że ponosimy pełną odpowiedzialność za uciążliwe dla otoczenia zachowanie psa, w tym głośnie szczekanie. Reguluje to Kodeks wykroczeń (art. 51 § 1). Długotrwałe szczekanie w zamknięciu może skutkować zainteresowaniem losem psa Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Wprawdzie z ustaw nie wynika jednoznacznie, że psy mają być prowadzone na smyczy i/lub w kagańcu, i jeśli tak, to w jakich miejscach. Nie oznacza to jednak wcale, że właściciel może wszędzie wypuszczać luzem swojego czworonoga, z uwagi na bezpieczeństwo innych ludzi, ale również zwierzęcia. Art. 77 Kodeksu wykroczeń mówi, że „Kto nie zachowu-

Fot. Archiwum Autora

je zwykłych lub nakazanych środków ostrożności przy trzymaniu zwierzęcia, podlega karze grzywny do 250 złotych albo karze nagany”. Ponadto na spacer z psami dużymi oraz groźnymi powinny wychodzić wyłącznie osoby dorosłe. Natomiast w terenach leśnych pies musi być na smyczy, by nie płoszyć dzikiej zwierzyny.

Pies powyżej 3 miesiąca życia podlega obowiązkowemu ochronnemu szczepieniu przeciwko wściekliźnie. Szczepienie powinno się odbyć w ciągu 30 dni od dnia ukończenia przez psa 3 miesiąca życia, a następnie nie rzadziej niż co 12 miesięcy od dnia ostatniego szczepienia. Warto pamiętać o dodatkowych szczepieniach, głównie przeciw nosowce i innym chorobom wieku szczenięcego oraz o systematycznym odrobaczaniu.

Układanie psa to nie taka prosta sprawa! W kwietniu zapisałam się z Benkiem do szkoły. Jeździliśmy autobusem do Słupska po spełnieniu pro-

stych wymagań. Miałam przy sobie świadectwa szczepień w książeczce zdrowia, pies był w kagańcu i na smyczy. Siedział na podłodze przy mojej nodze. Okazało się, że jest idealnym pasażerem. Ćwiczyło piętnaście psów, w tym sześć labradorów. Zadania wykonywał chętnie, starał się być prymusem, czasem jednak ponosiła go psia fantazja. Ostatnie zajęcia ze względu na młodzieńczą kulawiznę musieliśmy zamienić na wizytę u weterynarza. Spotkania na placu szkoleniowym dały mi okazję do obserwacji innych psów i poznania doświadczeń ich właścicieli.

Pozostała jeszcze kwestia czystości. Nie ma ogólnopolskich przepisów o jej utrzymaniu. Ustawa odsyła nas do przepisów prawa miejscowego. Każda gmina jest zobowiązana do wydania regulaminu utrzymania czystości i porządku na swoim terenie. Rady gmin określają szczegółowe przepisy lokalne dotyczące utrzy-

mania zwierząt domowych. „Uchwała Nr XVIII.231.2016 Rady Gminy Ustka z dnia 20 maja 2016 roku w sprawie regulaminu utrzymania czystości i porządku na terenie Gminy Ustka” w rozdziale 7.21 opisuje obowiązki osób utrzymujących zwierzęta domowe, w tym obowiązek umieszczenia przy wejściu tabliczki o obecności psa oraz prosi o „dłożenie starań by zwierzęta nie zanieczyszczały miejsc przeznaczonych do wspólnego użytku”.

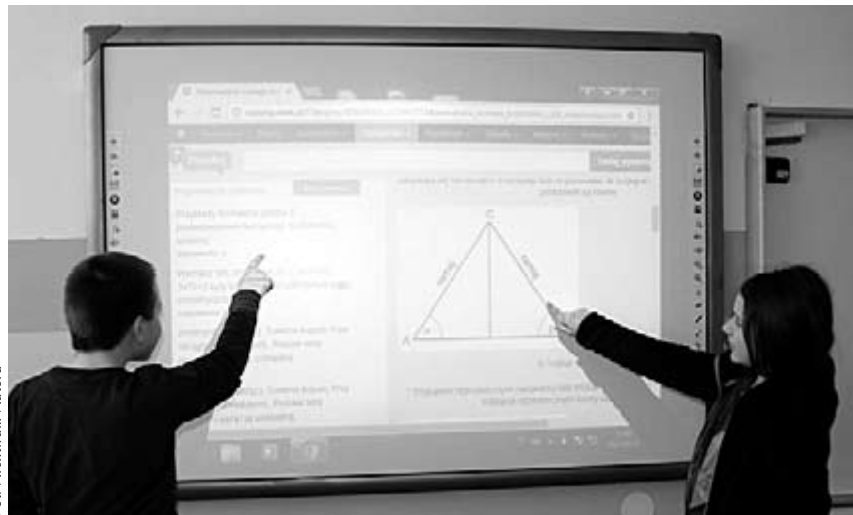
Benek ma już siedem lat. Uwielbia długie spacer, biegi, a po sezonie wyjazdy samochodem nad morze. W wodzie czuje się wspaniale, chętnie aportuje nawet najdalej rzucone patyki. Potrafi być wyjątkowo posłuszny, byleby zasłużyć na wspólną zabawę.

Zupełnie niechęć stał się domownikiem, a my przyjeśliśmy na siebie psi obowiązek opieki i bezwarunkowego przywiązania do smyczy, która jak wiadomo ma dwa końce.

Czesława Długoszek, Objazda

Nowocześniejsza edukacja

Dzięki dofinansowaniu ze środków Unii Europejskiej za 139 tys. zł zakupiono pomoce dydaktyczne oraz sprzęt multimedialny dla szkół w gminie Potęgowo.



Fot. Archiwum Autora

Zespoły Szkół w Potęgowie i Łupawie oraz Szkoła Podstawowa w Skórowie otrzymały tablice multimedialne, projektory, laptopy, przyrządy badawcze, modele anatomiczne, zestawy doświadczalne, a także szafy na odczynniki i dygestoria, dzięki którym uczniowie będą mogli przeprowadzać doświadczenia chemiczne. Ponadto Szkoła Podstawowa w Skórowie wzbogaciła się o no-

woczesne laboratorium fonetyczne. Realizacja zajęć z wykorzystaniem pomocy dydaktycznych sprawia, że mają one teraz atrakcyjną i przystępną formę oraz pobudzają kreatywność uczniów, motywują do aktywności poznawczej oraz inspirują do działań edukacyjnych.

Doposażenie szkół w nowoczesne pomoce dydaktyczne oraz sprzęt to pierwsze konkretne efekty

realizacji projektu „Nowoczesna Edukacja w gminie Potęgowo”. Nauczyciele i uczniowie nie kryją zadowolenia z otrzymanych pomocy, choć na efekty prowadzonych przy ich pomocy zajęć trzeba będzie jeszcze poczekać. Celem realizowanego projektu jest też podniesienie kompetencji kluczowych uczniów poprzez udział w dodatkowych zajęciach matematyczno-przyrodniczych, informatycznych oraz językowych, a także wyrównanie szans oraz pomoc w wyborze ścieżki edukacyjno-zawodowej.

Projekt dofinansowany został z Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014-2020. Całkowity jego koszt to ponad 775 tys. zł, w tym dofinansowanie wynosi 737 tys. zł. Wkład własny gminy, w postaci udostępnienia sal szkolnych na dodatkowe zajęcia, wyliczony został na ponad 38 tys. zł. Realizacja projektu obejmuje lata szkolne 2016/2017 i 2017/2018 i odbywa się w partnerstwie ze Stowarzyszeniem Humaneo. (G.P.)

Doktor mający nadzieję

Rok 2017 ogłoszono w Słupsku rokiem Ludwika Zamenhofa – tak zdecydowała Rada Miejska na wniosek prezydenta Roberta Biedronia, aktywnego esperantysty.



Eliezer Lewis Samenhof był polskim, żydowskim lekarzem okulistą. Od 1887 roku, gdy utworzył on esperanto – międzynarodowy język, by ułatwić porozumiewanie się różnych kultur, jego krytycy sztychili zeń, nazywając go „idealistycznym wymysłem dla lingwistycznych odmieńców”. Jednak dalszy rozwój stworzonego przez niego języka pokazał, że nie mieli racji. Esperanto jest dziś najbardziej popularnym językiem sztucznym. Jego projekt został wydany w formie książki, która zawierała 16 reguł gramatyczno-słotwórczych oraz startowy zestaw słów i poezję napisaną przez Zamenhofa. Została ona podpisana pseudonimem „Dr Esperanto” – co znaczy: „doktor mający nadzieję” (nadzieję

na to, że język ten rozpowszechni się w świecie). Autor projektu zrzekł się praw autorskich do esperanta, oddając swoje dzieło społeczności międzynarodowej, rozwijającej ten język, na który przełożono, m.in. dzieła Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa czy Iwana Turgieniewa.

Pierwsi esperantysty zainaugurowali swoją działalność nad Słupią w drugiej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku, ale oficjalnie klub esperantystów istniał w Słupsku od 1962 roku. Jego siedzibą był nieistniejący już Dom Kultury Kolejarza przy ulicy Kollątaja 31a. Pasjonaci tego sztucznego, ale żywego i prężnie rozwijającego się języka, mieli nawet swoją rubrykę w lokalnej gazecie. Coraz więcej mieszkańców miasta próbo-

wało skontaktować się z członkami klubu, by dołączyć do niego. Można to było zrobić w każdy poniedziałek pomiędzy godziną 17.00 a 18.00 we wspomnianym Domu Kultury. Raz w tygodniu, przez dwie godziny, odbywały się konwersacje. Uczono się piosenek, pisano listy, rywalizowano w grach towarzyskich, ale także omawiano sylwetki zasłużonych tłumaczy. Wydano nawet folder „Słupsk i okolice” w języku esperanto. Słupscy esperantysty uczestniczyli nawet w 66. Światowym Kongresie Esperantystów w Budapeszcie.

Jednak największy boom na naukę esperanta w Słupsku przypadł na koniec lat osiemdziesiątych. Ponad trzystu słuchaczy zapisało się wówczas na kurs tego języka, choć nie był on tani. I choć większość z nich robiła to głównie z myślą o zagranicznych wояażach, znaleźli się i tacy, którzy pilnie studiowali gramatykę i zasady



esperanta. W kościele św. Jacka raz w miesiącu odprawiane były msze w tym języku. W latach dziewięćdziesiątych nastał czas kryzysu, ponieważ nauka esperanta nie była już furtką do wyjazdów zagranicznych. Członkowie związku z żalem podjęli więc decyzję o rozwiązaniu Oddziału Polskiego Związku Esperantystów w Słupsku. Stało się to 11 maja 1998 roku.

Śladami dawnej bogatej działalności koła pozostają obelisk przy Skwerze Jerzego Waldorffa ku czci twórcy esperanta - Ludwika Zamenhofs oraz nazwa ulicy Zamenhofs, przy której znajduje się sąd okręgowy. Ideą języka esperanto jako uniwersalnego narzędzia do zacieśniania kontaktów międzyludzkich zainteresował się m.in. Zespół Szkół Ekonomicznych i Technicznych im. Stanisława Staszica. Dyrektor Renata Draszanowska nawiązała współpracę z Polskim Stowarzyszeniem Europa - Demokracja - Esperanto i jego członkowie odwiedzili „Ekonomik”, by wspólnie opracować plan działania na Rok Ludwika Zamenhofs. Efektem okazały się dwie inicjatywy zaadresowane do wszystkich zainteresowanych językiem

esperanto. 21 marca zorganizowano w szkole przy ulicy Partyzantów niezwykłą, unikatową wystawę, na której można było zapoznać się z ciekawymi dokumentami, rękopisami oraz medalami związanymi z osobą twórcy esperanta. Wśród eksponatów pojawiły się także księgarskie „białe kruki” i znaczki pocztowe. Wystawę otworzyli członkowie Polskiego Stowarzyszenia Europa - Demokracja - Esperanto, którzy opowiedzieli o genezie języka oraz jego pomysłodawcy. Ogłoszono też zapisy na darmowy tygodniowy (po dwie godziny dziennie) kurs języka esperanto. Organizatorzy gwarantowali, że jest to czas wystarczający, by nauczyć się tego języka. Do uczestnictwa w kursie zachęcano zarówno dzieci, jak i dorosłych.

**Agata Marzec
Słupsk**



Zbliża się wieczna samotność...

Fot. J. Maziejuk

Może jakaś szara chmura wyniesie mą duszę na tamten świat? Zabiorę z sobą obraz polnych grusz i śliw na miedzach, pochylonych wierzb nad stawem i najcudowniejszy liliowy zapach rozkwitłych bzów w maju.

Dzisiejszy świat rozpędzonej technologii, stawia człowieka w sytuacji zdobywcy dóbr materialnych. Gdzieś ucieka miejsce dla godnego współzycia międzyludzkiego. Jediną prawdą, która sięga równo biednych i bogatych, jest śmierć. Obudził mnie piękny, jasny dzień 7 marca. Jeszcze wczorajsza prawie zielona trawa pokryła się białą kołdrą śniegu. W górze słychać pieśń skowronka, pokrzykiwanie dzikich gęsi, kaczek. Cieszy się cały ptasi świat, że już wiosna. Odwieczny rytuał zakładania gniazd, przedłużenia gatunku.

Kiedy życie, tak jak moje, zbliża się do nieuchronnego końca, cieszę się każdym jego przejawem. Choćby tym bocianem, który znosi gałęzie, by naprawić gniazdo na podwórku Pio-

tra Mikulaka w Izbicy. Bo ten bocian to prawdziwy arystokrata, nie jada byle czego. Rybacy z przystani zostawiają mu ryby.

Kilka dni temu zachwycalam się ogromnym stadem łabędzi na rozlewisku koło wioski Gać. Niektóre z nich pływały po rzece Łebie, radośnie wiosłując skrzydłami. Pomyślałam sobie, że żal będzie umierać, zostawić to błękitno-zielone piękno, ten cud Bożego stworzenia. Spostrzegłam, że usiadł na sznurze od bielizny cytrynowy motyl, złocisty zwiastun wiosny, który szybko zginie jak ludzka dusza.

Mimo wszystko zachłannie Kocham życie. Lubię nawet siwe, niebieskie, czarne oczy miejscowych pijaków, którzy żywią się suchą bułką i piwem. Żyją jak potrafią, podśpiewu-

ją, pokrzykują, klą na ten świat, który zgotował im taki właśnie los. Różne są ludzkie ścieżki życia, choćby mojej 94-letniej, wspaniałej sąsiadki Emilii Zakręt. Pracowitej kobiety, której młode matki mogły pozazdrościć zamięłowania do porządku. Ciągłe jest w ruchu, czasem zdarza się, że wywróci się na podwórku. Wtedy słyszę: „Miła ratuj”. Biegnę i wyklócam się z nią, czemu na siebie nie uważa. Ale to nic nie daje, bo za kilka dni dzieje się to samo.

ale też nad nowoczesną zabudową wiosek i miast. I te drogi, autostrady. W mojej rodzinnej wsi Zamoście nawet drogi polne są asfaltowe. Trzykilometrowa droga do Janowa, którą wyganiałam krowy na pastwisko, też jest taka. Przypomniała mi się sytuacja: zielona łąka, kilka krów, deszcz, ja okryta barwną zapaską, podniosłam oczy, w górze była szara wielka chmura. Deszcz był ciepły, przyjazny, a ja miałam wrażenie, że ta chmura otula mnie ciepłym płaszczem.

ne kwiaty przylaszczek, wtedy pozostanie nam zachwyt nad tym najpiękniejszym ze światów.

Może jeszcze wspomnieć należy o ważnej dla Polaków w marcu 101-jej rocznicy powstania kościuszkowskiego. Obchodzą ją z wielkim pietyzmem Polacy z Ameryki Północnej, szczególnie z Filadelfii. W 2016 roku cenzor Związku Narodowego p. Heliński pisał, iż obowiązkiem jest uczcić czyn upadającego narodu. Wielka myśl bohatera Tadeusza Kościuszki, że swoboda narodu zależy od współudziału wszystkich warstw społecznych, jest nieśmiertelna. Związane to jest z trudną przeszłością Polski, kiedy życie umysłowe Polaków pod okupacją niemiecką miało się sprowadzać do unicestwienia. Według instrukcji ministra propagandy Josepha Goebbelsa, Polacy, jako naród nie mieli mieć żadnych perspektyw. Tej instrukcji była podporządkowana najbardziej brutalna w historii cywilizacji polityka wynarodowiania, która obowiązywała na ziemiach III Rzeszy, jak i Generalnej Gubernii. Dla Polaków dostępne było tylko wykształcenie elementarne, bez historii, geografii, ojczystego języka. Informacje dla ludności miały przekazywać uliczne głośniki i polskojęzyczna prasa.

Z terenów zajętych przez Związek Radziecki wywieziono w głąb Azji 1,2 miliona obywateli polskich, paraliżując też edukację, życie umysłowe i artystyczne. Podczas okupacji, w więzieniach i obozach koncentracyjnych i egzekucjach ulicznych, zginęła połowa uniwersyteckich profesorów i docentów.

W listopadzie 1939 roku grupę 184 uczonych krakowskich, władze okupacyjne zaprosiły na odczyt o nauce niemieckiej, następnie aresztowały i osadziły w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen.

W 1941 we Lwowie Niemcy rozstrzelali 25 uczonych. Mimo prześladowań i ucieczki w wieczną samotność, polska powojenna nauka jednak odrodziła się jak Feniks z popiołów.

Wszystko przeminęło, co było złe i dobre. Jak co roku znowu zazielenią się wiosenne łąki, rozszlącą kaczeńce, a nad pomorską ziemią wzleci zwycięski orzeł. Na izbickim, śródleśnym cmentarzu zakwitną niebieskie kwiaty, w pobliskim lesie rozwiną się wonne konwalie i zaszumią drzewa tym, którzy odeszli w wieczną samotność.

Emilia Zimnicka, Izbica



Jako pól sierota pracowała w Czajkowie, od pięciu lat pasła gęsi, potem krowy, ciężko harując w polu i obejściu. Następnie przyszła wojna i praca u Marii Haglanev, którą bardzo dobrze wspomina. Niedawno mówi do mnie, że dosyć ma tego długiego życia. Zmarły już jej dwie córki, wnuczki, i pyta mnie retorycznie, dlaczego ona jeszcze żyje?..

Nie chce żadnej opiekunki, przyjeżdża do niej wnuczka z Główczy i zięć. Na tym przykładzie widać niepowtarzalną wartość ludzkiego życia, bez względu na jego użytkową, produkcyjną przydatność.

Z ogromną radością wspominam podróż do siostry pod Częstochową z września ubiegłego roku. I znów to odczucie, że żal będzie umierać. Jak zostawić ten zachwyt nad pięknem mojego kraju, nie tylko krajobrazu,

Może taka właśnie chmura, wyniesie mą duszę na tamten świat? Zabiorę z sobą obraz polnych gruszy i śliw na miedzach, pochylonych wierzb nad stawem i najcudowniejszy lilowy zapach rozkwitłych bzów w maju. Tak bardzo bym chciała, aby ludzie się do siebie uśmiechali, wtedy świat pewnie byłby lepszy. Jednak, jak tu się uśmiechać, kiedy z Syrii płyną straszne wieści o cierpieniu, o zamachach terrorystycznych, kiedy słyszę o wojnie na Ukrainie i nędzy jaką za sobą niesie. W jakim kierunku idzie nasza ludzkość? Czy nie narodzi się nowy Hitler lub Stalin, który miliony utopi we krwi i męczarniach?

Ale lepiej zapomnijmy o sprawach trudnych, z ziemi wyrzwały pierwsze, nieśmiało przebiśniegi i różnokolorowe krokusy. Kiedy jeszcze w parku w Ciemnie zakwitną białe, delikat-

Urodziłem się w kwietniu 1938 roku w miejscowości Hryckiewiczze, w gminie Krzemienica, w powiecie Wołkowysk, w województwie białostockim na tzw. Kresach Państwa Polskiego. W tym czasie moja rodzina składała się z pięciu osób. Ja byłem najmłodszy, brat Czesław urodził się w 1936 roku, siostra Czesława - w 1933. Rodzice nasi byli biedni. Mieszkaliśmy kątem u obcych ludzi, bo nie stać ich było na jakąkolwiek „chatę” - tak nazywano wówczas domy mieszkalne. Nasz ojciec Józef Chwieduk urodził się w 1906 roku, był kolejjarzem i pracował na podrzędnej stacji w miejscowości Lebiady jako zwrotniczy. Mama Emilia urodziła się w 1904 roku, była pól sierotą, jej matka wcześniej umarła, a ojciec ożenił się drugi raz z wdową mającą sześcioro dzieci. Ojciec mamy był niedobry dla niej i dla swojego syna Wincentego, który mając 14 lat uciekł z domu rodzinnego.

Moja mama odnalazła go po około 30 latach w Charkowie na Ukrainie. Był już żonaty z Rosjanką Marią i miał dwóch synów, którzy byli później wysokiej rangi oficerami wojska ZSRR, a on sam pracował w straży pożarnej. Mimo że był Polakiem, mówił, iż jego miejsce jest w Związku Radzieckim.

Nasz ojciec i mama byli dla nas dobrzy. Wychowywali nas w duchu katolickim i patriotycznym. Mama chodziła w pielgrzymkach pieszych aż do Częstochowy. Pielgrzymom, z którymi szła zabierało to nawet miesiąc czasu. Po drodze pracowali dorywczo u rolników za spanie i jedzenie.

Kiedy wybuchła druga wojna światowa, mieszkaliśmy u dziadka

Było nam tu lepiej, jak na Kresach

W styczniu 1946 roku, po wyzwoleniu cała nasza rodzina razem z innymi w towarowych wagonach przyjechała na Ziemię Odzyskaną, do Słupska na Pomorzu. Jechaliśmy prawie miesiąc.



Fot. Archiwum Autora



o przezwisku „Ułan” na tzw. kolonii pod lasem. Jego chata posiadała dwie izby i kuchnię. Był rolnikiem raczej biednym, miał jednego konia i dwie krowy.

Zima z 1943 na 1944 rok była śnieżna i mroźna. Ziemię wschodnie Białorusi, jeszcze niedawno nasze kresy, były okupowane przez Niemcy hitlerowskie. W rozległych lasach przebywały liczne oddziały partyzantów rosyjskich. Właśnie pewnego wieczoru było już ciemno, był grudzień 1943 roku, mój ojciec razem ze swoim młodszym bratem Franciszkiem przywieźli na saniach worek mąki z młyna i cała nasza rodzina przy lampie naftowej spożywała popularną zacierkę, czyli mąkę z mlekiem i wodą.

Nagle usłyszeliśmy głośny łomot do drzwi i okien, okrzyki: „Atwieraj, atwieraj”. Ktoś z domowników otworzył drzwi do sieni i w tym czasie izba i kuchnia wypełniła się uzbrojonymi w długą broń mężczyznami

w kozuchach, kufajkach podających się za partyzantów rosyjskich. Jeden z nich (chyba dowódca grupy) krzykiem w języku rosyjskim zapytał, kto z domowników jest kolejjarzem? Ojciec odpowiedział, że on. Wtedy zaprowadzili ojca do drugiej izby na osobistą rozmowę. Słyszeliśmy, że ojciec mówił głośno po rosyjsku: „ja nie chcę, ja nie mogę” itp. Oni jednak krzyczeli na ojca. Mówili, że walczą o wolność dla wszystkich Polaków i Rosjan, a on nie chce im pomóc.

Po dłuższych namowach i krzykach, dwóch najaktywniejszych partyzantów wyprowadziło ojca z drugiej izby i powiedzieli nam, że prowadzą go na rozstrzelanie. Bo nie chce pomagać walczyć z Niemcami. Najaktywniejszymi w tym zajściu było dwóch partyzantów - chyba dowódców, pozostali mężczyźni zachowywali się spokojnie. Nie rozmawiając nawet ze sobą, usiedli na ławach w pierwszej izbie i kuchni.

Moja mama przez cały czas trzymała mnie na rękach. Byłem szczupłym i wychudzonym dzieckiem wojny, miałem wtedy już szósty rok i pamiętam do dzisiaj to zajście. Ci dwaj Rosjanie, którzy wyprowadzili ojca



Fot. Archiwum Autora

na zewnątrz, na rozstrzelanie, zgodzili się, aby matka ze mną na rękach, wyszła za ojcem. Reszta domowników musiała pozostać w domu.

Na podwórku widziałem, jak jeden z partyzantów (dowódca) wymachiwał pistoletem przed ojcem i przykładał do skroni. Krzyczał, że go zastrzeli. Moja mama, trzymając mnie (bardzo płakałem), prosiła partyzantów, aby nie zabijali męża. Prosiła ojca, aby zgodził się pomagać, bo rozstrzelają całą rodzinę.

Ojciec ostatecznie się zgodził. Wtedy „dowódca” polecił mu ponownie wejść do drugiej izby i tam miał otrzymać dokładne instrukcje. Wzdłuż słów mojej mamy, ja mimo tego,

mał od wspomnianych partyzantów pięć min przeciwczołgowych, kilka granatów i pistolet. Jako kolejarz pracujący na zmiany - według zaleceń dowódcy partyzantów - miał te miny podłożyć pod tzw. rozjazdy torowe, dyspozytornię urządzeń stacyjnych, jak też dyżurkę dyżurnego ruchu. Granatami zaś miał obrzucić wartownię dwóch żołnierzy niemieckich pilnujących co noc tej stacji. Przy czym sam, gdy już zadziała pierwsza mina na odległym rozjeździe, miał uciekać poza stację, krzyząc: „partyzanci, uciekać, miny, miny”.

Ojciec, jako że był kolejarzem, przed wojną przeszedł szkolenie wojskowe na kursach prowadzonych przez polskich oficerów, miał rozeznanie co do broni i materiałów wybuchowych. Analizując cały przebieg wręczania mu min i granatów, doszedł do wniosku, że to wszystko nie trzyma się logiki, że może to być prowokacja przeprowadzona przez specjalnie przeszkolonych do tego żandarmów niemieckich.

Oglądając rano dokładnie zostawione mu miny i granaty zauważył, że są to atrapy ćwiczebne niepowodujące zniszczenia, a jedynie głośnie wybuchy. Pozostawiony pistolet był niesprawny. To upewniło ojca o niemieckiej prowokacji.

Ojciec cały „arsenał” odwiózł na posterunek żandarmerii niemieckiej znajdujący się w dawnej polskiej gminie w Krzemienicy. Kiedy się tam zna-

że ojca nie zastrzelili, cały czas płakałem. Zasnąłem dopiero po kilku godzinach od wyjazdu partyzantów.

Tej nocy, według słów domowników, około czwartej nad ranem (ja w tym czasie spałem) ponownie pod naszą chatę podjechało kilku partyzantów - już jednymi saniami - i przywieźli nam worek kartofli, worek żyta, połowę zabitej świni - w nagrodę za to, że ojciec zgodził się z nimi współpracować. Te „dary” zostały zabrane w jakiejś wiosce i nasz dziadek oddał je właścicielowi. Oni odjechali a nasz ojciec przeżywał gehennę...

Wspomnianej nocy ojciec nie mógł zasnąć. Walczył ze sobą. Otrzy-

laż, odniósł wrażenie, że jego obecność tam nie była zaskoczeniem. Komendant, który o wszystkim musiał wiedzieć, podziękował mu za jego postawę i oddanie „arsenału” pozostawionego przez „partyzantów”. Na tym posterunku poprosił komendanta o schronienie swoje i całej rodziny pod pozorem obawy, że partyzanci mogliby się dowiedzieć o jego nie-subordynacji i całą rodzinę zgładzić. Jeszcze tego samego dnia w południe przewieziono całą rodzinę dwoma saniami do wspomnianej Krzemienicy, gdzie ulokowano nas w jednej z sal lekcyjnych parterowej szkoły, zbudowanej z drewna.

W styczniu 1946 roku, po wyzwoleniu cała nasza rodzina razem z innymi w towarowych wagonach przyjechała na Ziemie Odzyskane, do Słupska na Pomorzu. Jechaliśmy prawie miesiąc. Pamiętam zniszczoną Warszawę i inne miasta. Ojciec nasz nie chciał zostać w mieście i po trzech miesiącach przenieśliśmy się do oddalonych od Słupska o trzynaście kilometrów Sycewic - gdzie ojciec zaczął pracę jako nauczyciel. Zamieszkaliśmy w bloku stacyjnym razem z czterema rodzinami przybyłymi tu z różnych stron Polski. Było nam tu mimo wszystko lepiej, jak na Kresach.

Od 1 września 1946 roku zacząłem chodzić do pierwszej klasy Szkoły Podstawowej w Sycewicach. W dniu 10 października około godziny czternastej, wracając ze szkoły razem z kolegą, spotkała mnie na peronie stacji sąsiadka i oznajmiła, że mój ojciec nie żyje! Pobiegłem do domu i zobaczyłem kilka osób stojących w pokoju, płaczących razem z moją mamą, a ciało ojca było przykryte białym płótnem. Ojciec został śmiertelnie porażony prądem elektrycznym przy zakładaniu instalacji elektrycznych do piwnicy swojej i sąsiadów. Został pochowany w pobliskiej Wrześnicy. Jeszcze dziś słyszę salwę honorową wystrzeloną przez strażników kolejowych. Miał zaledwie czterdzieści lat. Zostawił swoją 42-letnią żonę i troje nieletnich dzieci.

Mama po śmierci męża musiała szybko skończyć specjalny kurs dla analfabetów. Po nauczaniu się czytania i pisania podjęła pracę na PKP jako dróżniczka. Swoim uporem, bólem po mężu i dążeniem do obranego celu, zdolna była nas wychować na prawych ludzi. Przeżywszy 87 lat zmarła 23 grudnia 1991 roku. Oboje z ojcem pochowani są na cmentarzu w pobliskiej Wrześnicy.

Brat Czesław i siostra Czesława też już nie żyją, pochowani są na cmentarzu w Słupsku. Syn brata - Grzegorz Chwieduk z Kępic pomógł mi opracować te wspomnienia o moich rodzicach a jego dziadkach. Ja mieszkam z żoną Janiną w Zabrze. Nasz jednak - Jacek założył rodzinę (ma żonę Marzenę i syna Michała) i też jest mieszkańcem tego śląskiego miasta. Jeśli opisana historia mojej rodziny doprowadziła kogoś z czytających do refleksji nad życiem w ogóle, będę zadowolony.

Wacław Chwieduk, Zabrze



Fot. Archiwum Autora

Czym jest Wielkanoc? To najważniejsze i najstarsze święto chrześcijańskie, obchodzone na pamiątkę Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Początkowo obchodzono je w dniu żydowskiej Paschy, a od soboru w Nicei w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni Księżyca, tj. między 21 marca a 25 kwietnia. Uroczystości religijne Wielkanocy rozpoczyna odbywająca się wczesnym rankiem procesja i msza, w Kościele katolickim zwana rezurekcją, zaś w prawosławnym - jutrznią. W tym dniu spożywa się uroczyste śniadanie w gronie rodzinnym, rozpoczynające się od podzielenia święconym jajkiem i złożenia sobie życzeń. Wielkanoc kończy okres Wielkiego Postu i poprzedzając ją Wielki Tydzień. Jest czasem radości, czego symbolem jest biały kolor szat liturgicznych podczas mszy świętej. Wiąże się z nią liczne religijne i ludowe obrzędy, m.in. święcenie pokarmów, pisanki, śmigus-dyngus.

Święta Wielkanocne mają bogatą tradycję. Są niezwykle barwne, towarzyszy im wiele obrzędów. Zanim jednak nastanie czas radości i wesela w kościołach, domach, rodzinach szykuje się podwoje na przyjście Zmartwychwstałego. To okres wyciszenia, modlitwy, oczyszczenia, zarówno duszy jak i ciała i domostw - czyli czas Wielkiego Postu. Rozpoczynamy go Środą Po-

Czas Oczekiwania

Dawniej wodą spryskiwano dom, by rok był spokojny. Podsycano ogień i wrzucano do niego leszczyny. Popiół rozrzucono w dniu pierwszej orki, co miało zapewnić szczęście i dostatek. Dziś ogień służy do odpalenia paschału, czyli wielkiej świecy.

pielcową, która jest początkiem pokuty w przygotowaniach do świąt. W czasie mszy głowy wiernych zostają posypane popiołem. Obrzęd ten przypomina, że jesteśmy śmiertelni i odwieczamy ten świat tylko „na chwilę”. Dlatego powinniśmy starać się żyć jak najlepiej. Słyszymy wtedy słowa wypowiedziane przez kapłana: „Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię”.

Post dawniej obchodzono bardzo surowo. Nie było mowy o zabawach, muzykowaniu czy tłustym jedzeniu. Nawet organy w kościele milkły. Dziś cichną tylko w Wielki Piątek. Nie było też dzwonków, zamiast nich słychać było kołatki. Młodzież biegła po wsiach z grzechotkami, hałasując i strasząc przechodniów. Do dziś zachował się zwyczaj obdarowywania dzieci w Wielkim Tygodniu grzechotkami.

W czasie postu ludzie więcej się modlili, pomagali ubogim i przygo-

towywali się do świąt zarówno duchowo, jak i praktycznie, na przykład sprząając obejście i przygotowując ozdoby świąteczne. Owe porządki czyniono nie tylko po to, by mieszkanie lśniło czystością. Czynności te niosą ze sobą symboliczne znaczenie: wymiatamy z mieszkania zimę, a wraz z nią wszelkie zło i choroby.

Warto przypomnieć, że Wielki Post pokrywa się w czasie z tzw. przednówkiem, kiedy w gospodarstwach zapasy zimowe powoli się kończyły, a na polach często leżał jeszcze śnieg, nie było nowych zbiorów. Konieczne było zatem oszczędzanie jedzenia. Nie jedzono też jajek, ponieważ odkładano je na święta. Post miał zatem wymiar nie tylko religijny, ale też bardzo praktyczny.

Podczas całego postu tylko jeden dzień, tradycyjnie czwarta niedziela, była wyjątkiem. Dzień ten nazywano Śródpoście. W tym dniu powracała do kościoła i domostw radosna atmosfera. Po pierwsze miała przypominać, że cały Wielki Post, który był dawniej i bardzo poważnie traktowany, służy oczekiwaniu na radosne wydarzenie, jakim jest Zmartwychwstanie Pańskie. Dlatego w tę niedzielę śpiewa się pełne nadziei pieśni, słychać dzwony i muzykę. Ciekawym zwyczajem było wielkie hałasowanie na polach i łąkach. Dzieci z grzechotkami, kołatkami i innymi huczącymi instrumentami, biegły budzić rabanem przyrodę, żeby na święta i na wiosnę wszystko się zazieleniło i zaczęło kwitnąć.

Zbliżający się czas Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Pańskiego otwiera Niedziela Palmowa i jest początkiem Wielkiego Tygodnia. Kiedyś nazywano ją „Kwietną” lub „Wierzbną”. Upamiętnia ona wjazd Jezusa do Jerozolimy, kiedy to lud witając Go, rzucał pod nogi płaszcze i zielone gałązki. Tradycyjnie palmy robiono z tych roślin, które rosły nad rzeką, bo płynąca w nich woda dawała roślinom zieleń i życie. Te rośliny odradzały się po zi-



Fot. J. Maziejuk

mie najszybciej. Była to m.in. wierzba i trawy oraz trzciny nadrzeczne, ale też gałązki bukszpanu, malin, porzeczek. Ozdabiano je kwiatkami, mchem, ziołami, kolorowymi piórkami.

Po poświęceniu palemki biło się nią lekko domowników, by zapewnić im szczęście na cały rok, mówiąc: „Nie ja biję, palma bije, za tydzień wielki dzień, na szóstą noc Wielkanoc!”. Palemkami klepano też zwierzęta, by były zdrowe przez cały rok. Połknięcie jednej poświęconej bazi wróżyło zdrowie i bogactwo. Zatknięte za obraz lub włożone do wazonów palemki chroniły mieszkanie przed nieszczęściami i złośliwością sąsiadów, jak też miały chronić przed gromami w czasie burzy, złymi mocami i chorobami.

Kolejnym ważnym dniem Wielkiego Tygodnia jest Wielka Środa. Młodzież, zwłaszcza chłopcy, topili tego dnia Judasza. Ze słomy i starych ubrań robiono wielką kukłę, podobną do dzisiejszej Marzanny, którą następnie wleczono na łańcuchach po całej okolicy. Przy drodze ustawiali się gapie, którzy okładali kukłę kijami. Na koniec wrzucano „zdrajcę” do stawu lub bagienka. Wymierzanej w ten sposób sprawiedliwości stawalo się zadość. W Wielki Czwartek chłopcy ze wsi wyganiaли Wielki Post, hałasując kołatkami (dzwony kościelne milczały aż do Niedzieli Wielkanocnej). Dzieci robiły dobry uczynek i przy okazji świetnie się bawiły.

Do dziś księża praktykują w ten dzień obrzęd polewania stóp dwunastu mężczyznom. To na pamiątkę Ostatniej Wieczery Chrystusa z apostołami. Ostatnie dwa dni postu były wielkim przygotowaniem do święta. W te dni żegnano się z żurem, potrawą spożywaną przez cały post. Kiedy więc zbliżał się czas radości i zabawy, sagany żuru wylewano na ziemię. W widowiskowy sposób rozstawano się też ze śledziem, kolejnym symbolem wielkiego postu. Z ogromną radością i satysfakcją przybijano rybę do drzewa. Tak karano śledzia za to, że przez sześć niedziel wypierał z jadłospisu mięso. Wielki Piątek to dzień wyciszenia. W kościele nie ma mszy świętej (to jedyny taki dzień w roku), natomiast gromadzą się tam wierni, którzy modlą się w ważnych dla siebie intencjach. Dawniej piątkowe modlitwy były bardziej widowiskowe. Pojawiały się procesje grzeszników odzianych w worki żałobne, którzy kładli się krzyżem na podłodze i przepraszaali za swoje grze-

chy. Dziś niemal w każdym polskim kościele jest nocne czuwanie przy grobie Jezusa, którego pilnują strażnicy (strażacy, harcerze, żołnierze). W Wielki Piątek, zgodnie z tradycją, powinno się również przygotować święconkę, by móc ją poświęcić w Wielką Sobotę, czyli Wigilię Wielkanocy. W koszyczku ze święconką nie mogło zabraknąć baranka - symbolu Chrystusa Zmartwychwstałego, mięsa i wędlin na znak, że kończy się post. Święcono też chrzan, bo „gorycz męki Pańskiej i śmierci została zwyciężona przez słodycz zmartwychwstania”, jak też masła - oznaki dobrobytu i jajka - symbol narodzenia. Przygotowując te ostatnie, tradycją było też obmycie przez dziewczęta twarzy w wodzie, w której gotowano jajka na święconkę. Wierzano bowiem, iż w ten sposób pozbędą się one niechcianych piegów i innych mankamentów urody. Podczas nabożeństwa w tym dniu święci się ogień, wodę i ciernie. Ogień symbolicznie spala to, co stare, woda daje życie. Dawniej wodą spryskiwano dom, by rok był spokojny. Podsycano ogień i wrzucano do niego leszczyny. Popiół rozrzucono w dniu pierwszej orki, co miało zapewnić szczęście i dostatek. Dziś ogień pełni inną rolę, służy do odpalenia paschału, czyli wielkiej świecy, która pali się aż do końca świąt Wielkiej Nocy.

Po tak długim oczekiwaniu i wszystkich przygotowaniach nadchodzi dzień radości, pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych, czyli Wielka Niedziela. Przed laty dzień ten obwieszczał poranny huk petard i dźwięk dzwonów, który miał obudzić śpiących w Tatrach rycerzy, poruszyć zatwardziałe serca skąpców i złośliwych sąsiadów. W Niedzielę Wielkanocną świętujemy. Wstajemy bardzo wcześnie, by pójść na mszę. Następnie zasiadamy do świątecznego, rodzinnego śniadania. Według tradycji stół świąteczny powinien być przykryty białym obrusem i udekorowany liśćmi bukszpanu. Na środku stołu stawiamy baranka, na przykład na łączce z rzeżuchy. Rzeżucha to symbol sił vitalnych i rodzącego się życia. Wielkanocna Niedziela to czas przeznaczony na rodzinne biesiadowanie. Na stole nie mogło i nie powinno zabraknąć żurku, białej kiel-

basy, wędzonek, pieczeni, paschy, kołaczy, serników, baby wielkanocnej i dziada, czyli mazurka. To dzień, w którym dzieci bawią się w poszukiwanie prezentów podrzuconych przez zajączka.

Dla dorosłych kiedyś, dziś w większości dla młodszych, dniem do zabawy jest zdecydowanie drugi dzień świąt - Lany Poniedziałek, gdyż Wielkanocny Poniedziałek (śmigus-dyngus) to czas radości, zabawy, psikusów, na które wszyscy czekali przez cały okres postu. W tym dniu polewamy się wodą. Dawniej śmigus i dyngus były osobnymi zwyczajami. Śmigus oznaczał tradycyjne smaganie, czyli uderzanie wierzbowymi gałąz-



kami lub polewanie wodą. Wszystko w formie zabawy. Chłopcy smagali dziewczęta po gołych łydkach. Dyngus to inaczej wykup. Chłopcy chodzili od domu do domu i w zamian za życzenia i śpiew domagali się wykupu w postaci pisanek, słodyczy, pieniędzy. Z czasem połączono te zwyczaje. Oblewać można było wszystkich i wszędzie. Zmoczone tego dnia panny miały większe szanse na zamążpójście. A jeśli któraś się obraziła - to nieprędko znalazła męża. Wykupić się można było od oblewania pisanek - stąd każda panna starała się, by jej kraszanka była najpiękniejsza. Chłopak, wręczając tego dnia pannie pi-

sanke, dawał jej do zrozumienia, że mu się podoba. Swego czasu chodzono po wsi z kogutem, symbolem sił witalnych i urodzaju. Kogutek był mile widzianym gościem w każdym gospodarstwie. Z czasem żywe zwierzęta zastąpiły te gliniane lub drewniane. W Wielkanocny Poniedziałek święci się pola. Gospodarze wyruszają w procesji, święcąc je palmami nasączonymi wodą. Z tych palm robią krzyżyki i wbijają w ziemię, aby zapewnić sobie dostatek. To okazja do spotkań towarzyskich i rozmów, cieszenia się wspólnie spędzonym czasem i budzącą się do życia przyrodą.

Tak bywało niegdyś. Dziś wiele tradycji, obrzędów i wierzeń pozostało. Jednak z roku na rok zapomina się o nich i chyba tym samym zmniejsza czar tych przecież najważniejszych i cudownych świąt. Same przygotowanie święconek już nie jest tak barwne, pomysłowe i rodzinne, jak było przed laty. W kościołach z roku na rok jest więcej wolnego miejsca, a w towarzystwie pojawiają się coraz częściej obwieszczenia o niemodnych „kościelnych praktykach”. Tylko sklepy, wystawiając z ogromnym wyprzedzeniem świąteczny asortyment, nie pozwalają nam zapomnieć o Wielkanocy. I tak podążamy od święta do święta, często manifestując, iż wszystkie te „zabawy i zawirowania świątecznej gorączki” nas nie dotyczą, by po chwili ulec i z mniejszym lub większym przekonaniem poddać się i kolejny raz wpaść w wir zakupów i blask bieliwetów. Z rozrównaniem wspominały lata dziecięcych zabaw z butelką wody po popularnym płynie do naczyń, poszukiwaniach prostych zajęczkowych upominków pod krzakami agrestu, wspólnych wieczorów malowania i wyklejania pisanek, kilkukilometrowych wycieczek na rekolekcyjne spotkania w parafialnym kościele bez skarg, żalu i pretensji, że daleko, zimno i szkoda czasu. Ze smutkiem odbieramy brak zainteresowania tradycją naszych przodków wśród młodszych pokoleń, których w Lanym Poniedziałku kusi to, iż rozpościerając ramiona wandalizmu i często krzywdząc innych z premedytacją i kpina „podpinają” swe czyny pod świąteczną tradycję.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

W tym roku obchodzić będziemy rocznice sześciu wydarzeń, które miały szczególne znaczenie dla ówczesnego społeczeństwa, państwowości i kultury polskiej. Mają przybliżyć bohaterów tych wydarzeń, ich twórcze działanie, umiłowanie ojczyzny i bezkompromisową walkę o niepodległość państwa.

Jedną z rocznic nawiązuje do położenia państwa polskiego nad Wisłą. Pięset pięćdziesiąt lat temu, w wyniku postanowień II pokoju toruńskiego, Polska odzyskała panowanie nad całym biegiem żeglownej Wisły. Stąd ustanowienie roku 2017 Rokiem Rzeki Wisły. W ten sposób Sejm RP postanowił oddać hołd pokoleniom rodaków, którzy dzięki Wiśle i w oparciu o nią budowali tożsamość i potęgę państwa polskiego.

Adam Chmielowski to Święty Brat Albert, założyciel zgromadzenia albertynów i albertynek, malarz, święty Kościoła katolickiego znany z pracy dla biednych i bezdomnych. W ubiegłym roku minęła 100. rocznica jego śmierci. W tym roku mija 130 lat od chwili przywdziania przez niego habitu. Mamy zatem Rok Adama Chmielowskiego, a także... Józefa Konrada Korzeniowskiego - syna polskich zesłańców syberyjskich, pisarza piszącego w Anglii i po angielsku, pierwszoplanowej postaci literatury światowej. W grudniu obchodzona będzie 160. rocznica jego urodzin.

Kolejną ważną postać to Tadeusz Kościuszko - polski i amerykański generał, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej w czasie insurekcji kościuszkowskiej, polskiego powstania narodowego przeciw Rosji i Prusom w 1794 roku. W bieżącym roku minie 200 lat od jego śmierci, stąd Sejm zdecydował też o ustanowieniu roku 2017 Rokiem Tadeusza Kościuszki. Będzie to też Rok Honorata Koźmińskiego (Florentyna Wacława Jana Stefana Koźmińskiego) - polskiego kapucyna, teologa, prezbytera, założyciela wielu zgromadzeń za-

Rok 2017 jest bogaty w rocznice, które zostały przez Sejm wyniesione do rangi narodowych.

Ważne rocznice



konnych, błogosławionego Kościoła rzymskokatolickiego, w październiku 1988 roku beatyfikowanego przez papieża Jana Pawła II. A także Rok Marszałka Józefa Piłsudskiego - twórcy Legionów Polskich, naczelnego wodza Armii Polskiej, naczelnika państwa w latach 1918-1922, pierwszego marszałka Polski, przywódcy sanacji i dwukrotnego premiera w okresie międzywojennym.

W sumie rok 2017 jest rokiem sześciu patronów i odbędzie się z tego powodu wiele uroczystości o randze państwowej, kościelnej i zapewne lokalnej.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Głodna świata...

– Krew się lała, łzy, zaciskałam zęby, tak bardzo chciałam się nauczyć pięknej sztuki, jaką jest wykonywanie witraży – mówi Małgorzata Bąkowska – malarka z Ustki.



Fot. W. Lipzyński

Małgorzata Bąkowska, malująca pastelami, witrażystka, ostatnio adepta ceramiki artystycznej, mimo że urodziła się w Słupsku i tutaj uczęszczała do szkół - podstawowej i liceum ogólnokształcącego, to związana jest z Ustką, gdzie od wielu lat mieszka i tworzy.

- Już jako nastolatka z podziwem oglądałam obrazy różnych artystów, rzeźby, ceramikę, witraże i wyroby rzemiosła artystycznego. W skrytości duszy pragnęłam posiadać piękne obrazy, ale nigdy nie myślałam, że kiedyś sama będę je malować. A jak to się zaczęło? Początkowo były to tylko robótki ręczne - hafty różnego rodzaju, których nauczyła mnie moja babcia. Z ogromnym zapalem robiłam szydelkiem i na drutach różne bluzecz-

ki, sweterki, swetry, obrusy, garsonki. W prezencie od mojej ciotki dostałam maszynę dziewiarską „kaszubkę” - prostą, o podstawowych ściegach. Wtedy łączyłam elementy ręcznie robione z maszynowymi. Moje znajome często zamawiały u mnie sweterki i garsonki z ręcznie wrabianymi wzorami i pejzażami. Muszę dodać, że w tamtym czasie, a były to lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, w sklepach nie było takiego wyboru towaru, jak dziś. Dlatego całkiem nieźle na tym zarabiałam. Tak minęło prawie siedemnaście lat mojej „zabawy” z włóczką, która dawała mi nie tylko zadowolenie, ale i korzyści.

Małgorzata Bąkowska wspomina również swoją pracę zawodową. Szczególnie sięga pamięcią do zatrudnienia w PSS „Społem”

w Słupsku, w dziale zaopatrzenia, gdzie miała kontakt z dekoratorni. Zaopatrywała pracownię w różnego rodzaju materiały i często podglądała dekoratorów przy pracy, którzy później w istotny sposób wpłynęli na rozwój jej zainteresowań malarskich.

Tam też poznała i zaprzyjaźniła się m.in. z Henrykiem Jachimkiem i Markiem Seweryniukiem, z którymi utrzymuje przyjacielskie kontakty do dzisiaj. Właśnie pierwsze kontakty z malarstwem zawdzięcza Markowi Seweryniukowi, którego tak wspomina: - Widząc jak na kolanie naciągam płótna lniane z naszkicowanym obrazem i wyszywam go włóczką według własnego ściegu, często powtarzał: „rzuć te hafty i zacznij malować”. Sprezentował mi piękny zestaw 150 odcieni suchej pasteli, mówiąc: „teraz nie masz wyjścia i musisz malować”. Zawsze z podziwem obserwowałam, jak on maluje i jak spod jego palców, ukazują się piękne obrazy. Zaczarowały mnie jego prace i to właśnie jemu zawdzięczę, że dzisiaj maluję.

W Ustce mieszkała po sąsiedzku z Anną i Andrzejem Mazurami - malarzami profesjonalistami, u których bywali artyści z Holandii.

Któregoś razu pani Anna pokazała Holendrom obrazki haftowane Małgorzaty Bąkowskiej. Spodobały się im i otrzymała zaproszenie do udziału w zbiorowej wystawie, do której zaproszeni zostali też: Roman Kwiatkowski, Zbigniew Bartuś i Elżbieta Kulka - wszyscy z Ustki. Udział w tej wystawie otworzył drogę jej haftom do szerszej prezentacji. Był to rok 1997.

Po tej wystawie z domowych robótek przeszła do prawdziwej sztuki. Z Holandii wróciła w pełni przekonana o potrzebie podjęcia nowych wyzwań. Wkrótce ma pierwszą indywidualną wystawę „Iglą malowane” w Domu Kultury w Ustce. Pamięta, jak bardzo się denerwowała. Przyszło jednak dużo osób. Dzisiaj mówi krótko: - To były pierwsze koty za płoty.



Wyjazd do Holandii zaowocował innym spojrzeniem na możliwości uprawiania sztuki. Pozostawała pod wrażeniem obejrzanych tam obrazów malarzy flamandzkich. Szczególny zachwyt wzbudziły w niej pejzaże pełne wiatraków, pola pełne tulipanów, a także urokliwe uliczki Amsterdamu. W Muzeum im. Vincenta Van Gogha podziwiała serię słynnych słoneczników namalowanych w Prowansji we Francji. Po powrocie do kraju kupiła kilka fachowych książek, z których czerpała wiedzę o malarstwie. Pierwsze prace nie należały do udanych. W miarę upływu czasu i „treningu” zaczęły jednak powstawać coraz to ciekawsze. Długo szukała swojego artystycznego stylu. Fascynacja Bałtykiem wpłynęła na wybór głównego tematu. Przez wiele lat czynnie uprawiała żeglarsstwo...

- Maluję morze, wydmy, klify morskie, lasy i, znikającą Ustkę - mówi Małgorzata Bąkowska: - Tematy znajduję w najbliższym otoczeniu. Spacerując brzegiem morza i uliczkami Ustki wykonuję zdjęcia, które są potem wstępem do moich obrazów. W 2013 roku, za namową koleżanki Wandy Botter, wzięłam udział w warsztatach witrażownictwa zorganizowanych w ramach projektu „Usteckiej Edukacji Artystycznej”. Poszłam na nie z wielką radością, ale już po pierwszych zajęciach chciałam zrezygnować. Nic mi nie wychodziło. Szkło pękało nie tam gdzie trzeba. Wszystko było koślawe i nie takie jak powinno być. Byłam bar-

dzo zniechęcona. Ale myślałam sobie: przecież witraże robią ludzie, a szkło jest takie piękne. Krew się lała, łzy, zaciskałam zęby, tak bardzo chciałam się nauczyć tej pięknej sztuki.



Krok po kroku zdobywałam wiedzę. Na zakończenie warsztatów w Ośrodku Wypoczynkowym „Włókniarz” zorganizowano wystawę prac wszystkich uczestników. Wręczono nam dyplomy ich ukończenia. Dziś wiem, że wykonywanie witraży jest pięknym zajęciem, ale bardzo czasochłonnym, wymagającym cierpliwości, precyzji. Ukończona praca dostarcza wiele radości. To ogromna przyjemność ujrzeć witraż, jak nabiera życia, gdy przenika przez niego światło.

Ostatnią pasją Małgorzaty Bąkowskiej jest uprawianie ceramiki artystycznej i użytkowej. Od marca 2016 roku uczęszcza na warsztaty w Centrum Aktywności Twórczej, gdzie zajęcia prowadzi Michał Żesławski. Poznaje różne technologie i techniki ceramiczne. Pierwsze doświadczenia

tak ocenia: - Warsztaty te pozwalają mi spojrzeć na ceramikę użytkową z innego punktu widzenia. Skłaniają do przemyśleń i poszukiwań twórczych. Z przyjemnością uczę się wykonywać różne naczynia. Wiem, że efekt będzie zadowalający, bo wykładowca jest bardzo wymagający.

Małgorzata Bąkowska miała wystawy indywidualne i zbiorowe w Holandii, Niemczech, Słupsku, Gdyni. Jej prace znajdują się w prywatnych kolekcjach krajowych i zagranicznych w Anglii, Francji, Belgii, Kanadzie, Niemczech, Holandii, Australii. Z przyjemnością ogląda się jej obrazy. Pasty odznaczają się jasnymi, delikatnymi, miękko przenikającymi się kolorami. Artystka stosuje wcieranie farby w szorstkie podobrazie. Farby wtedy nie wsiąkają w strukturę materii, ale pozostają na powierzchni.

Choć Małgorzata Bąkowska jest już doświadczoną malarką, to na zakończenie spotkania powiedziała: - Ciągłe jeszcze się uczę czegoś nowego, i tak to już chyba w życiu jest, że cały czas zdobywamy nowe doświadczenia. Jesteśmy głodni i ciekawi świata, to nas mobilizuje do ciągłych poszukiwań twórczych i znalezienia dla siebie właściwego miejsca.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
lipczyński@interia.eu





Mój Kraków

W latach trzydziestych rodzice kupili radioodbiornik Elektritt Czempion. Po 1939 roku ten sam odbiornik Sowietci produkowali jako Białoruś.

W dalekim kresowym miasteczku w województwie nowogródzkim, gdzie Wańkowicze pili wódkę z sąsiadami, a policjanci konfiskowali bolszewickie ulotki, my, dzieciaki policjantów, nauczycieli i wojskowych oficerów, czyli miejscowej elity, takie o Krakowie śpiewaliśmy piosenki: „Płynie Wisła, płynie / Po polskiej dolinie. / Zobaczyła Kraków, / Pewnie go nie minie. // Zobaczyła Kraków, / Wnet go pokochała... // Na Starym Rynku w Krakowie / Domy stanęły na głowie / Asa, tada rasa, asa tada rasa / Domy stanęły na głowie. // I tak tańczyły raz, dwa, trzy, / A ptaszek siedzi i patrzy”.

To była piosenka szkolna, wyuczona na lekcjach śpiewu w pierwszej klasie. Prywatna była zabawna o krakowskim ptaszku, co tańczył razem z damami na krakowskim Rynku. W latach trzydziestych rodzice kupili radioodbiornik. Pamiętam, nazywał się Elektritt Czempion. Już jako dorosły, kilka lat po wojnie, dowiedziałem się, że był to odbiornik wileńskiej fabryki właśnie o nazwie Elektritt. Po roku 1939 Sowietci fabrykę przejęli, a ten sam model po zmianach konstrukcyjnych produkowali jako Białoruś. Przez wiele powojennych lat stał

na honorowym miejscu, pod tą właśnie sowiecką nazwą. Tamten spłonił razem z domem i dobytkiem. W wielkiej Encyklopedii Radzieckiej wydarzenie to opisano jako „operacja słonimska” tzw. wielkiej wojny ojczyźnianej.

Po powstaniu warszawskim znalazłem się w Krakowie i trafiłem do przytułku zakonnic przy ulicy Podbrzezie. Do dnia wyzwolenia w tym przytułku przebywałem z matką i bratem. Ponieważ był to jeszcze czas wojny, na Rynku odbywały się parady niemieckich oddziałów, czemu nieraz się przyglądałem.

Sam dzień wyzwolenia dobrze pamiętam. Na ulicy prowadzącej do Rynku pełno było szkła z rozbitych szyb, na Rynku stał samochód z żołnierzami w polskich mundurach. Do dziś jestem ciekaw, co to była za grupa.

Krakowianie zrobili na mnie wrażenie przestraszonych. Dla 15-letniego chłopca obytego z walkami na Starym Mieście kilka wybuchów - chyba na Grodzkiej? - nie stano-

wiło powodu do strachu. Ulice były puste. Udałem się do zaprzyjaźnionego ministranta, Tolka Augustyńskiego, na Mikołajską 13. Tam też prawie przerażenie. Pani Augustyńska powitała mnie w pokoju zasłoniętym, przestraszona. Tolek wyszedł jakby schowany. Po poczęstunku wróciłem na Podbrzezie. Potem chciałem dostać się na drugą stronę Wisły, do innego ministranta, ale most był wysadzony.

Ogłoszono zapisy do gimnazjum. Zaraz się zapisałem. W czasie okupacji uczyłem się na tzw. kompletach w Warszawie. Zdaje się, że było to Gimnazjum im. Nowodworskiego. Nie zabawiłem tam długo, bo po kilku dniach matka zabrała nas, by wrócić do Warszawy. Dowiedziawszy się, że w czasie okupacji byłem w Warszawie ministrantem, zakonnicze skierowały mnie do oo. dominikanów, bo podczas okupacji i na Starym Mieście byłem ministrantem w czasie powstania. Jeden z Ojców prowadził mały teatrzyk, do którego mnie zapisał. Pamiętam, że na Boże Narodzenie wystawialiśmy Dziady pod opieką jednego z Ojców. Ja wygłaszałem słynną opowieść Sobolewskiego.

Kilka razy po wojnie bywałem w Krakowie, zawsze przejazdem. Nie było więc okazji, by zwiedzić ulicę Podbrzezie, ani zajrzeć do zakonników, z którymi wiele dobrego pozostało w pamięci. Nie wiem też, jak potoczyły się losy Tolka Augustyńskiego. Kiedyś przeczytałem gdzieś, że na Mikołajskiej 13 była drukarnia, a pan Augustyński był jej dyrektorem i z tej racji zajmował mieszkanie, gdzie jako chłopiec po powstaniu gościłem.

Zdzisław Stankiewicz, Słupsk

Fot. A. Wróblewski



W roku 1982 Rada Europy zatwierdziła Szlak św. Jakuba jako znaczący dla kultury europejskiej i wystosowała apel o troskę o istniejące i odnowę zapomnianych dróg.

Pątniczy szlak

Jakub, syn rybaka Zebedeusza, był jednym z dwunastu uczniów, którzy po śmierci Nauczyciela rozproszyli się po świecie. Poszedł na zachód, dotarł do Andaluzji i dalej na północ przez portugalskie miasta Coimbra i Braga do Iria Flavia w Hiszpanii, gdzie głosił naukę o Jezusie. Efekty pracy misyjnej były znikome, a Jakub postanowił wrócić do Jerozolimy. Tu w roku 44 został uwięziony i ścięty bez sądu przez wnuka Heroda - Agrypę za złamanie zakazu głoszenia religii chrześcijańskiej.

Wtedy uczniowie Jakuba Atanazjusz i Teodor wykradli jego ciało, ukryli na łodzi, a prądy morskie w cudowny sposób zanieśli łódź do miasta Padron w Galicji. Stamtąd wozem zaprzęgniętym w parę wołów Atanazjusz i Teodor z ciałem Jakuba wędrowali przez las Libredon. W pewnym momencie woły stanęły. Nie chciały iść dalej. Wędrowcy przyjęli to za znak Boży i w tym miejscu pochowali ciało Jakuba, w ukryciu, z obawy przed przeciwnikami chrześcijan. Zapomniano o grobie męczennika. Minęły wieki, aż po ośmiuset latach pustelnik Pelagiusz doznał objawienia. Jemu przypadnie odkrycie grobu.

Ktoregoś dnia zobaczył spadające gwiazdy. Kiedy w tym miejscu zaczął kopać, odkrył sarkofag. O odkryciu powiadomił biskupa Iria Flavi - Teodomira. W sarkofagu znaleziono szkielety trzech osób, wierzone, że to miejsce wiecznego spoczynku św. Jakuba i jego uczniów. Nad kamiennym sarkofagiem powstała kaplica, a z czasem wokół niej rozwinęła się osada, którą w roku 824 nazwano oficjalnie Santiago de Compostela. Na początku XII wieku papież Kalist II ogłosił tak zwane „trzy adresy święte”, były to: Jerozolima, Rzym i Santiago de Compostela. Postanowił także, że rok, w którym uroczystość św. Jakuba (25 lipca) przypada w niedzielę jest

Rokiem Świętym. Sanktuarium św. Jakuba otrzymało prawo udzielenia odpustu zupełnego.

Od najwcześniejszych lat pielgrzymowano do grobu św. Jakuba mimo niebezpieczeństw, trudu, kosztów, prosząc o ustąpienie epidemii, jako pokutę za ciężkie grzechy, którą nakładały sądy lub kapłani. Pielgrzymi wędrowali różnymi szlakami z całej Europy. Jan Wolfgang Goethe uznał, że „Drogi Jakubowe ukształtowały Europę”. Czterej mazowieccy rycerze jako pierwsi Polacy zawędrowali do Composteli już w XIV wieku, a ich szlakiem wędrowali później Stanisław i Jerzy Radziwiłłowie, Jakub Sobieski, ojciec króla Jana. Jan Paweł II był u grobu św. Jakuba dwa razy.

W roku 1982 Rada Europy zatwierdziła Szlak św. Jakuba jako znaczący dla kultury europejskiej i wystosowała apel o troskę o istniejące i odnowę zapomnianych dróg. W październiku 1987 roku szlak Jakubowy został nazwany Europejskim Szlakiem Kulturowym, a w 1993 został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Nie ma jednej trasy pielgrzymki, a uczestnicy mogą do-

trzeć do celu jednym z wielu szlaków. Droga oznaczona jest muszlą św. Jakuba, która jest także symbolem pielgrzymów, i żółtymi strzałkami. Kiedyś w rejonie Południowego Bałtyku od Królewca przez Elbląg, Gdańsk, Sianów, Szczecin do Rostoku prowadziła droga łącząca się ze Szlakiem św. Jakuba w Europie Zachodniej. Drogi



Fot. Archiwum Autora



Fot. Arch. W. Lipczyńskiego

zamarły wskutek wojen i historycznych zaszłości. Dopiero po roku 1989 możliwa była reaktywacja Pomorskiej Drogi św. Jakuba, a Unia Europejska wsparła finansowo projekt rewitalizacji Europejskiego Szlaku Kulturowego na obszarze Południowego Bałtyku jako Pomorskiej Drogi św. Jakuba.

Droga św. Jakuba prowadzi z litewskiego miasta Kretinga (krajowy koordynator: Darius Martinkus z gminy Kretinga) przez obwód kaliningradzki, północną część Polski (koordynator projektu w Łęborku: Elżbieta Rekowska-Klassa i przewodnicząca Grupy Sterującej Alicja Zajączkowska z Urzędu Miasta w Łęborku) i dalej przez Greifswald (koordynator krajowy: Ralf Scheibe z Uniwersyte-



Fot. Arch. W. Lipczyńskiego

tu w Greifswaldzie), Belgię i Francję do Santiago di Compostela w Hiszpanii. Pomorska Droga św. Jakuba rozpoczyna się w Braniewie na granicy z obwodem kaliningradzkim, prowadzi przez miejscowości położone nad Bałtykiem, a kończy w Świnoujściu. Zarówno europejski, jaki i Polski szlak mają wiele odrębnych, powiązanych odcinków dróg, które zazwyczaj powstawały w wyniku lokalnych inicjatyw, o czym informuje strona internetowa projektu: www.re-create.pl.

Tak powstały Elbląska Droga św. Jakuba, Gdańska Droga św. Jakuba, Żukowska (Kaszubska) Droga św. Jakuba, Kartuska Droga św. Jakuba, Lęborska Droga św. Jakuba, (alternatywna) Słupska Droga św. Jakuba (Smøldzino - Gardna Wielka - Czysa - Lubuczewo - Siemianice - Słupsk, razem 28,2 km), Zachodniopomorska Droga św. Jakuba.

Pomorski Szlak św. Jakuba ma długość ponad 1133 kilometry, w tym na terenie Polski to ponad 713 kilometrów. Lęborska Droga Św. Jakuba powstała w 2009 roku i obejmuje odcinek od Lęborka, przez Smøldzino do Sianowa i liczy około 100 km i łą-

czy się ze Słupską Drogą (alternatywną) od Smøldzina przez Gardnę Wielką, Czysą, Lubuczewo, Siemianice do Słupska - razem 28,2 km). Znakami Jakubowej muszli oznakowane są również trasy: Smøldzino - Rowy - Ustka - 34,6 km, Ustka - Słupsk - 21,5 km, Słupsk - Pałowo (13,2 km, granica województwa).

W 2013 roku przez Słupsk peregrynowała I Międzynarodowa Pielgrzymka Jakubowa. Trasę wytyczył i oznakował słupski PTTK. Sposób oznakowania nie spodobał się niektórym mieszkańcom miasta, o czym donosił dziennik gp24: „Niewielkie tabliczki z charakterystyczną żółtą muszlą na ciemnoniebieskim tle pojawiły się w kilkudziesięciu miejscach w różnych częściach miasta. Oznaczają tzw. Pomorską Drogę św. Jakuba. Tabliczki wiszą głównie na znakach drogowych i drzewach. I to właśnie nie spodobało się części naszych czytelników.” Po przejściu pielgrzymki oznakowanie zostało usunięte.

Jakubowe Drogi oznaczone są znakiem żółtej muszli na ciemnoniebieskim tle, której główka wskazuje kierunek marszu. Wytyczenie i oznakowanie szlaku pielgrzymkowego symbolem muszli św. Jakuba jest koniecznym, ale niewystarczającym zabiegiem rewitalizacyjnym. Potrzeba jeszcze stworzyć aprobujący dla pielgrzymów klimat społeczny i odpowiednią dla pątników infrastrukturę.

Oczywiście, z Drogi św. Jakuba korzystać będą pielgrzymi, zaspakajając swoje religijno-duchowe oraz turystyczne potrzeby. Jest to jednak także szansa gospodarcza dla miejscowej ludności, związana z obsługą ruchu pielgrzymkowego. Muszą przecież powstać punkty informacyjne, noclegowe, gastronomiczne oraz atrakcyjne przyrodnicze na atrakcyjnych turystycznie trasach, z opisem miejscowych zabytków czy dawnych miejsc kultu, jak na przykład Rowokół.

Jakiś czas temu pan Włodzimierz Lipczyński podjął temat Drogi Jakubowej zarówno w „Powiecie Słupskim”, jak i w lokalnych „Wieściach z Gminy Ustka” w związku z organizowaną przez wójta gminy Ustka Annę Sobczuk-Jodłowską i ks. dziekana Jerzego Wyrzykowskiego sesją na temat rewitalizacji szlaku w Duninowie w 2012 roku. - „Szlak pątniczy na obszarze gminy Ustka powinien być wytyczony drogami wiodącymi do Sło-

wińskiego Parku Narodowego przez Gąbino, Objazdę, Wytowno, Przewłokę do Ustki i dalej do Duninowa i Zaleskich, czyli starą drogą hanzeatycką, równoległą do drogi rowerowej „szlakiem zwiniętych torów” od Ustki do Rowów” - pisał pan Lipczyński.

Chyba niewiele się od tamtego czasu działo. Do internetowej bazy gospodarstw leżących na szlaku Pomorskiej Drogi św. Jakuba wpisane zostały dwie kwatery z Ustki i jedna ze Smøldzińskiego Lasu, mimo że na stronie internetowej projektu www.re-create.pl znajduje się do pobrania „Zgłoszenie do internetowej bazy gospodarstw leżących na szlaku Pomorskiej Drogi św. Jakuba.”

Newsem jest informacja z 2 marca br. zamieszczona na stronie www.re-create.pl/: „Województwo pomorskie przystąpi w charakterze członka do Europejskiej Federacji Dróg św. Jakuba z Composteli z siedzibą w Le Puy-en-Velay (Francja). Tak zdecydowali radni podczas sesji sejmiku 27 lutego 2017 r. Ideę Drogi św. Jakuba podczas sesji przedstawiła Radna Sejmiku oraz doradca burmistrza Lęborka Alicja Zajączkowska. (...) Członkostwo naszego regionu w stowarzyszeniu wiąże się z możliwością szerszej współpracy na polu turystyki z regionami oraz zwiększa szansę na wspólne ubieganie się o dotacje z programów Unii Europejskiej i Rady Europy. Członkostwo w stowarzyszeniu to także szansa wpisania Pomorskiej Drogi św. Jakuba do szlaków kulturowych Rady Europy, jak również zwiększenie wpływu na sposób przedstawiania polskiej drogi św. Jakuba w zagranicznych centrach turystycznych dzięki powiązaniu stowarzyszenia z UNESCO.”

Małe miejscowości po transformacji 1989 roku wciąż poszukują własnych dróg rozwoju, metaforycznie można by powiedzieć są na pątniczym szlaku. Idea polskiej drogi św. Jakuba nie rozwiąże wszystkich problemów, ale może aktywizować mieszkańców, motywować do poznania historii i tradycji własnego regionu, wspólnotowego działania w porozumieniu z lokalnym samorządem, Kościołem, lokalnymi firmami. Założenia mogą wydać się idealistyczne. Wszystko jednak rozpoczyna się od wizji.

Czesława Długoszek, Objazda

Tekst powstał w oparciu o „Pomorska Droga św. Jakuba - podręcznik dla interesariuszy”, Sopot 2014 r.

Przygoda z historią i wojskiem

W Słupsku działa Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Grzmot” – pierwsza na ziemi słupskiej, krzewiąca tradycję 1. Morskiego Pułku Strzelców z Wejherowa. Kim Jesteśmy?

Pomysłodawcą i założycielem grupy jest Andrzej Liberek – emerytowany oficer Wojska Polskiego, m.in. 28. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Redzikowie, pasjonat historii i wojskowości Rzeczypospolitej. W pomieszczeniach Klubu przy 7. Batalionie Obróńców Wybrzeża w Słupsku, za zgodą i z pomocą dowództwa, znalazł miejsce dla ludzi podobnych sobie. Grupa pierwszych zapaleńców spotkała się jesienią 2015 roku i usta-

Tradycje

Rekonstruktorzy wiedzą, że pomimo zakończenia Wielkiej Wojny i przegranej w niej kaiserowskich Niemiec, Pomorze z Gdańskiem nie mogło łatwo wrócić do Polski. Granice naszego państwa cały czas się kształtowały, tak samo administracja. Józef Piłsudski już 28 listopada 1918 roku rozkazał utworzyć marynarkę polską, która miała stać na straży interesów odrodzonej Polski na Wybrzeżu.

je jednak przerwany bolszewicką zawieruchą. Dopiero w styczniu 1920 roku pod dowództwem gen. Hallera m.in. I Baon Morski spod toruńskiego Aleksandrowa rusza wzdłuż Wisły na północ. Kolejno wojska polskie zajmują Toruń, Bydgoszcz, Chełmno, Grudziądz, Tczew, Kartusy i w końcu Puck, gdzie 10 lutego odbywają się uroczyste zaślubiny z morzem. Granica zostaje ustanowiona na zachód od Wejherowa, które staje się stolicą powiatu morskiego. Ale Baon Morski na stałe w Wejherowie lokuje się dopiero w 1931 roku. Zgodnie z decyzją Ministerstwa Spraw Wojskowych żołnierze zajmują w zachodniej części miasta budynki Krajowego Zakładu Opieki Społecznej. W ten sposób miasto powiatowe staje się garnizonom Wojska Polskiego, bardzo ważnym dla ludności kaszubskiej. Kadra jednostki reprezentuje wyższy poziom niż inne jednostki w kraju. Przydział do Baonu uważany jest za wyróżnienie. W 1937 roku jednostka otrzymuje sztandar ufundowany przez mieszkańców powiatu wejherowskiego, na którym widnieją również miejsca bitew z wojny z bolsze-



Fot. Archiwum Autora

liła, że będzie odtwarzać pododdział piechoty z II RP. Właśnie piechota tworzyła główny trzon ówczesnych wojsk przeznaczonych do obrony polskiego wybrzeża. Wybór padł na 1 Morski Pułk Strzelców z Wejherowa, najbliższej położony od Słupska oddział Wojska Polskiego. Nazwała się „Grzmot” – od członu nazwiska gen. bryg. Stanisława Grzmot-Skotnickiego, patrona 7. Brygady ze Słupska. Był on jednym z głównodowodzących w Armii Pomorze we wrześniu 1939 roku i poległ ze swoimi żołnierzami w bitwie nad Bzurą.

Trzon formowanej marynarki wojennej tworzyli zawodowi żołnierze pochodzenia polskiego trzech flot zaborców: austriackiej, pruskiej i rosyjskiej. W tym czasie oddziałom było daleko do Bałtyku, dlatego pierwszym portem staję się podwarszawski Modlin, gdzie cały czas zgłaszają się ochotnicy. W lutym 1919 roku powołany zostaje I Batalion Morski, który dopiero w czerwcu, po podpisaniu traktatu wersalskiego wyrusza w kierunku ziem Pomorza i dociera do Aleksandrowa Kujawskiego pod Toruniem. Marsz ku Wybrzeżu zosta-

wikami. W 1939 r. 1 Morski Batalion Strzelców zostaje przemianowany na 1 Morski Pułk Strzelców i wchodzi w skład Lądowej Obrony Wybrzeża, przygotowywanej już od marca 1939 roku, którą będzie dowodził później płk. Stanisław Dąbek. Strzelcy morscy stanowią jeden z ważnych trzonów LOW i od zachodu mają bronić dostępu do Gdyni.

Bolszewika bij!

Niemcy i Rosja nie dopuszczaly myśli o powstaniu Polski. Pierwsi po wojnie byli słabi i ograniczeni trakta-

tem wersalskim, u drugich zapanował bolszewicki chaos, którego celem stała się ekspansja komunizmu do Europy Zachodniej. Rewolucjoniści zaatakowali Polskę już w 1919 roku. W końcu czerwca żołnierze z I. Batalionu Morskiego wyruszają spod Torunia na Polesie, by zasilić Flotę Pińską wód śródlądowych na rzece Prypeć. Dochodzi tu do potyczek i bitew z Rosjanami. W tym też czasie z powodu dużego napływu ochotników są tworzone kolejne Bataliony II i III, które walczą z wojskami bolszewickimi. 31 lipca 1920 roku I Batalion Pułku Morskiego wyjeżdża na wojnę z bolszewikami pod dowództwem gen. Wroczyńskiego i walczy najpierw na obszarze Ostrołęki. Bije się z krasnoarmiejcami na odcinku Susk - Nowa

Nasielska, ciągle się cofając przed napierającymi Rosjanami. Zacięcie też broni Płońska, by dopiero 17 sierpnia odeprzeć atak Rosjan. Wycofującego się nieprzyjaciela bije jeszcze 18 sierpnia pod Cywinem. Dalej goni go do Raciąża, gdzie pozostaje i kończy swoje działania bojowe w tej wojnie. 30 sierpnia Baony Morskie odpływają Wisłą do Torunia. Straty w wojnie z bolszewikami wyniosły dla: Batalionu I - 64 proc., II - 57 proc, a III - 25 proc. stanu osobowego. Tylu było zabitych i rannych.

Z końcem 1920 roku i początkiem następnego Baony Morskie zostają rozformowane, a kadra zostaje skierowania na szkolenia specjalistyczne w celu obsadzenia rozbudowującej się Floty Marynarki Wojennej RP. Hi-

zapowiadający pracownik gdyńskich kin „Morskiego Oka” (obecnie Atlantic) i „Lido”, trafił do jednostki w lutym 1939 roku. Po intensywnym szkoleniu na Kresach Wschodnich, pod Włodzimierzem Wołyńskim, powrócił w czerwcu tego roku do Wejherowa, gdzie trafił do Plutonu Zwiadu Rowerowego (tzw. Kolarzy). Pluton ten patrolował rejon nadgraniczny na zachód od Wejherowa do pierwszych dni września. W trakcie jednego z wojennych patroli został ranny w głowę, na szczęście niegroźnie. Po krótkiej kuracji w gdyńskim szpitalu, sam z niego ucieka i wraca do oddziału w Luzinie. W następnych dniach bierze udział w potyczkach z wojskami hitlerowskimi i bitwie obronnej o Redę. Przez Rumie



Wiś. W trakcie walk w miejscowości Zabiela w ręce kozaków wpada kpt. Jacynicz - pierwszy dowódca pułku morskiego. Następnie po uzupełnieniu strat baony morskie trafiają do 5. Armii gen. Sikorskiego, która ma bronić zapętlającego się odcinka frontu, biegnącego od granicy z Prusami Wschodnimi wzdłuż rzeki Narwi w kierunku Pułtusza. Mają przeciwdziałać uderzeniu wojsk Tuchaczewskiego zmierzającym na Toruń - Grudziądz. Baon Morski walczy najpierw pod Makowem, a 12 sierpnia broni już

storię i tradycje bojowe wspomnianych Baonów przejmując tworzony w 1931 r. Baon Morski, który powstaje w Wejherowie.

Bohaterowie Pułku

Pasjonaci z Grupy Rekonstrukcyjnej „Grzmot” znają żyjących jeszcze żołnierzy z 1. Morskiego Pułku Strzelców z Wejherowa, którego tradycje chcą krzewić. Wiedzą, że ostatnim żyjącym żołnierzem jest kpt. w st. spocz. Aleksander Pawelec, wtedy strzelec. Jako 24-letni dobrze się

dociera w rejon Gdyni i tam wraz z kompaniami trafia pod dowództwo płk. Stanisława Dąbka (dowódcy całej obrony Wybrzeża). Od 10 września w rejonie Kępy Oksywskiej toczy liczne boje z Wehrmachtem. Z jego oddziału, liczącego 40 żołnierzy, pozostaje tylko 15. 19 września w rejonie Babich Dołów dostaje się do niewoli. Stamtąd przez Stargard Szczeciński trafia do obozu jenieckiego Gross Born, w którym przebywa do września 1940 roku. Zwolniony, powraca do rodzinnej Lututowa,

gdzie trafiła też wysiedlona przez Niemców rodzina z Gdyni i pracuje w sklepie z artykułami przemysłowymi (tzw. Żelaznym). W 1941 roku wstępuje do Związku Walki Zbrojnej i zajmuje się konspiracją w Lututowie do końca wojny. Tam też zastaje go sowieckie wyzwolenie. Po wojnie ponownie wraca na Wybrzeże i pracuje w handlu branży przemysłowej. W Gdyni mieszka do dnia dzisiejszego, ciesząc się zdrowiem ponad stułatką!

Inną postacią związaną z 1. Morskim Pułkiem Strzelców jest kpt. Antoni Kasztelan. To wielkopolek, który w czasie I wojny światowej walczył w wojskach pruskich, w bitwie pod Verdun został ciężko ranny i był bliski śmierci. Odwieziony na rekon-

walescencję do Koenigsbergu (Królewca), pozostaje tam do końca wojny, po czym wraca w rodzinne strony i bierze udział w Powstaniu Wielkopolskim oraz wojnie polsko-bolszewickiej. Po niej, w latach 30-tych trafia do morskich strzelców w Wejherowie, skąd dzięki swoim ewidentnym walorom (zna kilka języków obcych) trafia do komórki wywiadowczej Dowództwa Floty. Tutaj organizuje sieć kontrwywiadowczą, prowadząc owocne rozpoznanie wśród szpiegów III Rzeszy i Związku Sowieckiego, bo tacy też się tutaj pojawiali. Po wybuchu wojny walczy w obronie Helu, a po zakończonych walkach

jest członkiem delegacji, która podpisze akt kapitulacji. Po poddaniu się Półwyspu Helskiego kpt. Kasztelan dostaje się do niewoli. Wbrew prawu międzynarodowemu władze niemieckie, po strasliwym śledztwie skazują go na czterokrotną karę śmierci. Wyśiłki rodziny, aby go uratować nie odnoszą skutku. Wyrok śmierci przez zgilotynowanie zostaje wykonany 14 grudnia 1941 roku w Koenigsbergu. Rodzina nigdy nie otrzymała ciała. Dzień przed śmiercią kapitan napisał ostatni list do żony i dzieci. Do

końca dochował wierności złożonej przysięgi i odrzucił wszelkie układy z wrogiem.

Kolejną bohaterską postacią, to płk. Kazimierz Pruszkowski, ostatni dowódca 1. Morskiego Pułku Strzelców. Służbę w wojsku zaczął w 1916 roku w Legionach Polskich. Brał także udział w wojnie z bolszewikami. Po niej swą wojskową karierę związał z piechotą, w której w następnych latach awansował. W 1938 roku objął już dobrze wyszkolony 1 Morski Pułk Strzelców w Wejherowie. Przeczuwając zagrożenie przystąpił do budowy bunkrów i okopów. Z pomocą przyszli mu burmistrz Wejherowa Teodor Bolduan, wójt gminy Łąkowy oraz nadleśniczy Roman Kuniewski (wszyscy w 1939 roku zamordowani przez Niemców). Stworzona przez niego sieć umocnień okazuje się trudna do sforsowania. Jednak 8 września wraz ze swoimi oddziałami musi opuścić Wejherowo i wycofywać się w kierunku Kępy Oksywskiej, aby bronić Gdyni pod dowództwem płk. Dąbka. Tam po śmierci dowódcy dostaje się do niewoli. Wojnę przeżywa w jenieckich oflagach. W 1945 roku wraca do Polski, najpierw w okolice Złotowa, a w 1956 roku do Wejherowa, gdzie aktywnie działa w środowisku kombatanckim. Po wojnie identyfikuje mogiły żołnierzy 1. Morskiego Pułku Strzelców, tworzy żołnierskie nekropolie na kaszubskich cmentarzach. Zmarł w 1969 roku i został pochowany na Cmentarzu Obrońców Wybrzeża w Gdyni wśród swoich żołnierzy.

Wśród ludzi

W maju 2016 roku słupscy rekonstruktorzy wzięli udział w warsztatach dla członków grup rekonstrukcyjnych, które odbywały się w Słupsku. - Staramy się utrzymywać stałą współpracę i więź z grupami z Trzebiatowa i Gdyni - mówi por. A. Liberek (stopień z GRH). - Z nimi odgrywaaliśmy inscenizację bitwy z okresu końca II wojny światowej, która rozegrała się w Bunkrach Blücher w Ustce. Grupa także w minionym roku brała udział w uroczystościach z okazji Konstytucji 3 Maja i Święcie Niepodległości w Kępicach, w Festiwalu Historycznym organizowanym w Akademii Pomorskiej oraz Europejskiej Nocy Muzeów organizowanej w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Rekonstruktorzy poznają

też miejsca związane z bojem, bohaterami Pułku w Wejherowie, Gdyni i na Kaszubach. Działalność naszej Grupy to nie tylko parady i bitwy, ale też charytatywna. Wzięliśmy udział w „Wielkanocnej Paczce dla Bohatera”. Kilkakrotnie spotkaliśmy się z ostatnim żyjącym żołnierzem 1. MPS, kpt. w st. spocz. Aleksandrem Pawelcem, którego odwiedziliśmy w Gdyni, a także z córką kpt. Antoniego Kasztelana. Utrzymujemy stały kontakt z Gimnazjum noszącym imię 1. Morskiego Pułku Strzelców w Wejherowie. Ponadto wzięliśmy udział w uroczystości w Urzędzie Miasta Wejherowo, gdzie uroczystie nadano stopień kapitana A. Pawelcowi, który w marcu ubiegłego roku skończył 101 lat!

Każda grupa odtwarzająca określony pododdział Wojska Polskiego dąży do wiernego odtworzenia jego umundurowania. Posiadamy w swych zasobach umundurowanie dla 10 żołnierzy: jeden mundur oficerski, dwa podoficerskie i siedem strzeleckich - są to kurtki sukienne wykonane z wełny w kolorze khaki, czapki polowe wz. 37 oraz furażerki. Do tego posiadamy kilka karabinów Mauser wz. 1929, jeden RKM wz. 28, łopatkę piechoty, bagnety wz. 29, ładownice, torby na maski i chlebaki oraz trzewiki żołnierskie. Większość tych przedmiotów zakupiliśmy ze środków budżetowych 7. Brygady Obrońców Wybrzeża, a część z własnych. W przyszłości chcielibyśmy nabyć płaszcze sukienne, plecaki, kocy, hełmy. Jednak naszym największym marzeniem jest CKM Maxim na biedce z zaprzęgiem konnym oraz armata kalibru 75 mm, bo takie też były na wyposażeniu pułku - rozmarza się strzelec Lucjan Hanak, pracownik Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

- Nie chcemy zamykać się w swoich klubowych czterech ścianach, chcemy być wśród ludzi, świętować wszelkie uroczystości i chwaleć oręża Wojska Polskiego - mówi plutonowy Mariusz Zatorski. - Jesteśmy wciąż otwarci na pasjonatów, ambitnych. Liczymy też na sympatyków naszych działań, bez których żadna inscenizacja nie może się odbyć. Bylibyśmy też ogromnie wdzięczni, gdyby ktoś z czytelników odezwał się do nas z opisem zdarzenia/-eń związanych z 1. Morskim Pułkiem Strzelców, które może gdzieś się znajdują w jakimś rodzinnym albumie.

Grzegorz Konopka, Słupsk



Podróż do Edo

Japońskie drzeworyty ukiyo-e z prywatnej kolekcji Jerzego Leskowicza wystawiono w Muzeum Narodowym w Warszawie.



Kultura japońska przeżywa obecnie renesans. Wielcy artyści europejscy i polscy czerpali inspirację z japońskich drzeworytów. W Paryżu zorganizowano po raz pierwszy w drugiej połowie XIX wieku wystawę sztuki japońskiej. Jonizm stał się modą na artystycznych salonach, zaczęto wykorzystywać orientalne rekwizyty - parasolki, wachlarze, kimono, pasy ozdobne, białą broń. Sprowadzano do Europy porcelanę, wyroby z ceramiki artystycznej i użytkowej, przedmioty z laki, tkaniny z jedwabiu. Szczególnie jednak zainteresowania wzbudzały barwne drzeworyty, tzw. ukiyo-e. Wybitni ówcześni malarze: Vincent van Gogh, Paul Gauguin, Claude Mo-

net i Auguste Rodin posiadali drzeworyty i tworzyli własne kolekcje. Polscy malarze także wykorzystywali wpływ sztuki japońskiej i malowali określone motywy na swoich obrazach. Robili to: Olga Boznańska (Martwa natura z wazą), Józef Chelmoński (Kuropatwy), Jan Stanisławski (Bodiaki pod słońce), Juliusz Fałat (Krajobraz zimowy z rzeką), Stanisław Wyspiański (Widok z oka z pracowni artysty na Kopiec Kościuszki).

Można skrótkowo stwierdzić, że wpływ sztuki japońskiej widać w redukcji środków wyrazu, asymetrii kompozycji, zamkniętym kadrowaniu, pokazującym wycinek większej całości, spłaszczeniu perspektywy oraz zachowanym linearyzmie. W drzeworytach ukiyo-e możemy doszukać się tych cech, widza zaskakuje również inne podejście do natury, tematem obrazów są bowiem drzewa, kwiaty, ptaki.

Przygotowana w Muzeum Narodowym wystawa jest wyjątkowa. Obejmuje pierwsze wydania najsłynniejszych prac graficznych wybitnych japońskich artystów ukiyo-e - Kitagawy Utamaro, Tōshūsai

Sharaku, Utagawa Hiroshige. Ponad trzysta prezentowanych dzieł pochodzi z liczącej niemal dwa tysiące rycin kolekcji Jerzego Leskowicza - mecenasa sztuki, który mieszkał w Paryżu.

Wystawa japońskich drzeworytów została po raz pierwszy zaprezentowana w Polsce 1901 roku w Zachęcie Warszawskiej i promowała sztukę Dalekiego Wschodu. Wybrane grafiki na obecną wystawę tworzą barwną panoramę krajobrazów i życia XVIII i XIX-wiecznej Japonii. Tytuł wystawy „Podróż do Edo” nawiązuje do krajobrazów dwóch głównych szlaków komunikacyjnych - Tokaido i Kisokaido, łączących miasta Edo i Kioto.

Pierwsza słynna seria pejzażowa autorstwa Hiroshige nosi tytuł „Pięćdziesiąt trzy stacje na gościńcu Tōkaidō”. Drugi cykl grafik to „Sześćdziesiąt dziewięć stacji na drodze Kisokaidō”. Powstał on w latach 1835-1842 i jest dziełem Keisaia Eisena, żyjącego w latach 1790-1848 oraz Hiroshige.

Szlak Tokaido prowadził wybrzeżem Oceanu Spokojnego, natomiast Kisokaido wiodł malowniczo przez strome zbocza Alp Japońskich i dalej doliną rzeki Kiso. Kompozycje stworzone przez Hiroshige ukazują romantyczny, liryczny pejzaż wzbogacony widokiem miasta, przydrożnej herbaciarni, rzeczno-brodów, górskiej przełęczy.

Na wystawie oglądamy też cykl drzeworytów pn. „Słynne widoki Kioto” z ok. 1834 roku Utagawy Hiroshige, żyjącego w latach 1797-1858 oraz tryptyk Utagawy Kunisady, przybliżający życie i rozrywki niższych warstw społecznych Kioto, a także przewodnik po mieście ilustrowany drzeworytami.

Należy wyjaśnić, że stara stolica - Kioto była siedzibą dworu cesarskiego i arystokracji w epoce niepodzielnej władzy szogunów z rodu Tokugawa. Był to jeden z najważniejszych ośrodków kultury Japonii. Obok kultury dworskiej rozwijała się tutaj również kultura mieszczańska, bardziej wyrafinowana niż plebejska Edo. Kioto było kolebką wielu nowatorskich działań artystycznych, które właśnie tutaj się narodziły.

Natomiast rozległe, milionowe Edo było siedzibą szoguna, wojakowego dyktatora rządzącego Japonią. Z małej osady rybackiej, położonej nad zatoką Oceanu Spokojnego, na wschodnim wybrzeżu Honsiu, powstała w tym czasie największa metropolia, która posiadała rozwinięty układ urbanistyczny, odzwierciedlający hierarchiczny podział społeczeństwa. Zamek szoguna stanowił centrum, wokół niego półokręgiem pobudowali swoje rezydencje arystokraci, na niżej położonych terenach, przy ciasno zabudowanych ulicach, mieszkali natomiast rzemieślnicy, artyści, kupcy, drobni handlarze, czeladnicy, restauratorzy, gejsze, aktorzy, kuglarze i prostytutki. Charakter tego niezwykłego miasta uwiecznili artyści, a wśród nich znany Hiroshige w cyklu „Sto słynnych widoków Edo”.

Na wystawie zostały zaprezentowane również prace z natury, ukazu-

jące konkretne miejsca w Japonii. Jednym z ich autorów jest ekscentryk Katsushika Hokusai, żyjący w latach 1760-1849. Najwybitniejsze jego dzieło stanowi seria zatytułowana „Trzydzieści sześć widoków góry Fuji”.

Odrębne miejsce zajmują portrety, przedstawiające podobizny aktorów teatru kabuki czy wizerunki pięknych dziewcząt. Przedstawicielem tego kierunku był Toshusai Sharaku, który w latach 1794-1795 stworzył serię portretów bardzo realistycznych o lekko satyrycznym charakterze.

Piękności z dzielnicy uciech portretował również Yoshiwara. Jednak wybitniejszym twórcą pełnych wdzięku i urzekającego liryzmu portretów był Kitagawa Utamaro, żyjący w latach 1753-1806. Jego drzeworyty zwane surimono pełniły funkcje noworocznych kart z życzeniami, a rozszyfrowanie ich kompozycji, odwołującej się do literatury, wymagało niemałej erudycji.

Drzeworyty surimono były wydawane bardzo starannie. Wykonywano je przy użyciu różnych technik, wzbogacając końcowy efekt estetyczny. Stosowano tzw. ślepe tłoczenia nadające wyrafinowaną fakturę, były prószone złotem i srebrnym proszkiem, malowanie laką. Ukazywały się one w niewielkich nakładach, drukowano je na drogim papierze. Kompozycje figuralne były uzupełniane o rozbudowany tekst, pisany piękną kaligrafią.

Drzeworyty te rozpowszechniły się głównie dzięki kalendarzom, które zyskały popularność w latach siedemdziesiątych XVIII wieku i twórcom z nurtu ukiyo-e. Tworzyli je głównie Gakuteia (1786-1868) i Hokeia (1780-1850), ale również wspomniani już - Katsushika Hokusai i Utagawa Hiroshige.

Wystawa japońskich drzeworytów w Muzeum Narodowym w Warszawie udostępnia szerokiej publiczności arcydzieła o randze międzynarodowej. Muzeum zaprosiło miłośników sztuki na wyjątkowej urody i wartości podróż po fascynującej Japonii u schyłku osiemnastego i pierwszej połowy dziewiętnastego wieku.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia

Fot. Sylwia Sz / wikipedia.org

Jedyna taka atrakcja

Wieś Trzęsacz ma niezwykłą historię. Jest najmniejszą i zarazem najstarszą miejscowością w gminie Rewal. W średniowieczu jej mieszkańcy zajmowali się głównie rolnictwem. Później rozwinęło się tu jeszcze rybołówstwo. Dopiero w XX w. Trzęsacz stał się miejscowością turystyczną.

Miejscowy deptak jest piękny. Na jego powierzchni rozmieszczone zostały nuty oraz klawisze pianina. To właśnie tutaj znajduje się Multimedialne Muzeum na Klifie im. Władysława Jagiełły. Powstało w 2000 roku. Założył je mieszkający w Trzęsacz w latach 1998 - 2006 Władysław Jagiełło. W maju ubiegłego roku, po kilkumiesięcznej modernizacji, obiekt został ponownie udostępniony. Zyskał dzisiejszą nazwę. Jego wnętrze wygląda teraz zupełnie inaczej. W multimedialnych salach można obejrzeć filmy animowane (głosu do nich użyczyli Małgorzata Foremniak oraz Radosław Pazura). Dzięki nowoczesnym technologiom sprawnie połączono świat baśni i legend z geograficznymi i historycznymi faktami na temat zabytkowego kościoła oraz samego Trzęsacza. Dla dzieci stworzono odrębną ścieżkę dźwiękową, która ma zarazem bawić i uczyć. Zagraniczni turyści mają specjalne udogodnienie - ścieżkę dźwiękową z informacjami w języku niemieckim.

Muzealne ekspozycje zajmują cztery sale. W każdej znajdują się eksponaty, ilustrujące inny rozdział z historii Trzęsacza. Chronologicznie przedstawiana jest historia, legendy, proces abrazyj, znaczenie 15. południka, stref czasowych oraz życie mieszkańców sprzed 600 lat. Każdą salę wypełniają efekty dźwiękowe, wprowadzające w nastrój adekwatny do przedstawianego wydarzenia. Wnętrza sal uzupełniają makiety, pocztówki oraz autentyczne fragmenty omawianego zabytku.

W sali pierwszej pojawia się pomarańczowa, gruba linia. Tak właśnie pokazuje się, gdzie dokładnie przechodzi 15. południk, który wyznacza czas środkowoeuropejski. Można też poznać hi-

storię kościoła. Mieszkańcy Trzęsacza postanowili go umiejscowić, jak się im wydawało, w bezpiecznym miejscu. Otaczać miały go lasy. Sama świątynia znajdowała się na niewielkim wzniesieniu. Gotycki kościół pw. św. Mikołaja zbudowano niecałe dwa kilometry od morza. W 1750 roku ta odległość wynosiła już tylko 58 metrów, pięćdziesiąt sześć lat później - 13! Z roku na rok coraz bardziej się zmniejszała. W 1868 wynosiła niecały... metr.

Dzisiaj w miejscu, w którym stał kościół, zachowała się jedynie część południowej ściany o długości dwunastu i wysokości sześciu metrów. Prób zabezpieczenia kościoła przed zjawiskiem abrazyj było kilkanaście - wszystkie nieskuteczne. Dopiero po runięciu w 1994 roku znacznego fragmentu ściany południowej, władze gminy Rewal podjęły energiczne działania mające na celu uchronienie resztek murów przed osunięciem się na plażę. Po rozpatrzeniu wielu koncepcji (w tym tak radykalnych, jak przesunięcie całej ocalałej ściany w głąb lądu) wybrano rozwiązanie zaproponowane przez firmę „Stabilator”. W 2001 roku ułożono opaskę, która miała przeciwdziałać niszczeniu klifu. Rok później wykonano nowy fundament pod ruiny kościoła oraz wzmocniono jego posadowienie przy pomocy dwóch pionowych kolumn wapienno-cementowych o długości piętnastu metrów oraz tak samo długiej ukośnej kotwy gruntowej. Podstawę klifu i zbocze zabezpieczono 80-metrową opaską brzegową w postaci koszy siatkowych wypełnionych materiałem kamiennym.

Od tamtej pory ruiny kościoła wciąż są atrakcją turystyczną - jedyną taką w Europie!

Wiktoria Piotrowska, Lotyń

M/s „Batory” w służbie Marsowi

Fot. Archiwum Autora

Motorowiec „Batory” – młodszy z dwóch pierwszych polskich nowoczesnych transatlantyków – miał zdecydowanie więcej szczęścia niż jego starszy „brat” („Piłsudski”). Ten ostatni bowiem zatonął już 26 listopada 1939 roku, w pierwszym swoim rejsie w charakterze wojskowego transportowca.

Po rozpoczęciu wojny m/s „Batory” zawinął do St. John’s na Nowej Fundlandii, potem udał się przez kanadyjski Halifax do Nowego Jorku, gdzie wszedł 5 września 1939 roku. 19 września na liniowcu doszło do strajku, zakończonego 22 września zejściem z pokładu części załogi oraz usunięciem ze statku kapitana E. Borkowskiego. Obowiązki dowódcy powierzono dotychczasowemu pierwszemu oficerowi, kapitanowi żegluga wielkiej Franciszkowi Szudzińskiemu. Tego samego dnia statek przeszedł do Halifaxu, gdzie stał do początku grudnia.

5 grudnia 1939 roku motorowiec przeszedł w czarter Ministry of War Transport, a następnego dnia dowództwo objął na nim kapitan żegluga wielkiej Edward Pacewicz. Statek przebudowano na transportowiec wojskowy i uzbrojono. 23 grudnia wyszedł z Halifaxu do Glasgow, płynąc w konwoju wiozącym I Kana-

dyjską Dywizję Piechoty, do portu przeznaczenia zawinął 31 grudnia. W styczniu i lutym 1940 roku dawny liniowiec pływał po Morzu Śródziemnym i Czerwonym. 22 lutego zawinął do Liverpoolu do przebudowy mającej na celu zwiększenie liczby przewożonych pasażerów. W marcu 1940 roku miał przewozić żołnierzy korpusu ekspedycyjnego do broniącej się przed agresją sowiecką Finlandii, ale nic z tego nie wyszło, bo tzw. Wojna Zimowa się zakończyła.

W pierwszej dekadzie kwietnia 1940 roku statek miał transportować wojska brytyjskie, mające zająć rejon Narwiku w neutralnej jeszcze wówczas Norwegii. Do tej akcji również nie doszło, bo Niemcy byli szybsi. 15 kwietnia „Batory” przewiózł wojsko do Harstad w Norwegii, dwa dni później był już z powrotem w Szkocji. 13 maja wyruszył z Glasgow do Harstad z transportem żołnierzy; na pokładzie statku znajdowali się także norwescy

ministrowie. W drogę powrotną do Gourock zabrał transport rannych. 5 czerwca zjawił się w Harstad, skąd zabrał 2268 żołnierzy wycofującego się korpusu ekspedycyjnego i w konwoju, osłanianym przez okręt warsztatowy „Vindictive”, dotarł 10 czerwca 1940 roku do ujścia rzeki Clyde. Potem przewiózł III batalion Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich i pewną liczbę Francuzów do Brestu, gdzie dotarł 14 czerwca.

16 czerwca 1940 roku rozpoczęto ewakuację oddziałów alianckich z portów francuskich. W pierwszym rejsie z Saint-Nazaire do Plymouth przewieziono ponad 2300 osób. 19 czerwca na statku doszło do buntu załogi i trzeba było zaprowadzić porządek wśród personelu hotelowego przy pomocy plutonu marynarzy z okrętu-bazy ORP „Gdynia” (dawnego, sławnego „Kościuszki”). 21 czerwca statek zjawił się na redzie Saint-Jean-de-Luz, skąd w ciągu doby zabrał ok. 3000 osób. Opuściły one pokład statku 24 i 25 czerwca w Plymouth, w tym też czasie nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy „Batorego”. Nowym „pierwszym po Bogu” został teraz młodszy z braci Deyczakowskich, Zygmunt. Wcześniej dowodził on „Chrobrym” i przeżył jego utratę w połowie maja 1940

roku pod norweskim Bodoe. 5 lipca 1940 roku liniowiec wyszedł z Greenock w składzie szybkiego konwoju do Halifaxu z ładunkiem angielskiego złota i papierów wartościowych. Oprócz tego ładunku wiozł 36 skrzyń z wawelskimi arrasami i innymi precjozami, ewakuowanymi z Polski. W drogę powrotną zaokrętowano 1200 żołnierzy kanadyjskich, którzy zeszli z pokładu 2 sierpnia w Liverpoolu.

5 sierpnia 1940 roku „Batory” wyruszył w jedną ze swoich najsłynniejszych podróży, tę z brytyjskimi dziećmi, ewakuowanymi do Australii. W czasie tego rejsu zasłynął, jako „Statek Rozśpiewany” („The Ship That Sailed On Song”). Młodzi pasażerowie zostali wyokrętowani dopiero w portach australijskich. Wcześniej - na wieść o tym, że już w Kapsztadzie mają się przesiąść na inny transportowiec - dzieciaki podniosły najprawdziwszy bunt! W efekcie stało się coś niebywałego: sztywna zazwyczaj i nieczuła brytyjska admiraliczka zmieniła wydane rozkazy i mali Brytyjczycy popłynęli dalej bez przesiadki. Za ten jeden rejs Wielka Brytania szczerze pokochała małego „Batorego”, jego dowódcę (tytułowanego przez dzieci „Królem”) i załogę.

2 listopada statek wyszedł do Wellington na Nowej Zelandii, gdzie 6 listopada przyjął na pokład 1300 żołnierzy, których wyokrętowano 15 grudnia w Suezie. Następnie „Batory” popłynął wokół Afryki do Gourock, gdzie zjawił się 8 lutego 1941 roku. Dwa dni później zawinął do Glasgow, gdzie miano przeprowadzić jego remont i wzmocnić uzbrojenie przeciwlotnicze. Po zakończeniu prac stoczniowych, 26 lutego 1941 roku, zaokrętowano 1850 pasażerów i transportowiec popłynął do Halifax. 9 marca pasażerowie zeszli ze statku w tym kanadyjskim porcie. 1 kwietnia w Halifaxie wizytę na „Batorym” złożył generał Władysław Sikorski. 10 kwietnia statek wyruszył w małym konwoju do Islandii, skąd pod eskortą wyszedł do Gourock. Po tym rejsie załoga motorowca rozpoczęła treningi do operacji desantowych. 18 czerwca wizytę na statku złożył prezydent RP Władysław Raczkiewicz. W grudniu 1941 roku „Batory” samotnie wyruszył z posiłkami do Gibraltaru, a w rejsie powrotnym wiozł ewakuowanych mieszkańców „Skały” i grupę Polaków zwolnionych z obozu Miranda de Ebro w Hiszpanii.

W styczniu 1942 roku „Batory” popłynął na wody Afryki Zachodniej, skąd powrócił do Glasgow 22 marca. Od kwietnia do połowy czerwca dwukrotnie przewiózł oddziały kanadyjskie na trasie Halifax-Gourock. Następnie wyszedł z wojskiem w konwoju do Freetown, Sekondi-Takoradi i Lagos, skąd udał się do Nowego Jorku. Tutaj zaokrętował żołnierzy amerykańskich i przez Halifax oraz Reykjavík (gdzie zeszli z pokładu Amerykanie) wrócił 25 sierpnia do Gourock. Jeszcze w tym samym miesiącu stanął w doku w Glasgow w celu dostosowania do roli transportowca desantowego. Następnie załoga prowadziła ćwiczenia desantowe do planowanego lądowania w Afryce Północnej.

11 września 1942 roku w Liverpoolu zaokrętowano na „Batorym” żołnierzy amerykańskich i 26 października wyszedł on w składzie konwoju KMF-1 do rejonu Oranu. Desant wysadzono 8 listopada w zatoce Mersa Bu Zajar. Następnie jednostka wyruszyła w podróż powrotną i 17 listopada stanęła w Gourock. W dniach od 27 listopada do 6 grudnia 1942 roku liniowiec przewiózł transport żołnierzy do Algieru. Na redzie tego portu włoskie samoloty dokonały 9 grudnia próby storpedowania „Batorego”. Włoska torpeda trafiła w sąsiedni statek z amunicją (temu i podobnym przypadkom statek zawdzię-

czał swój przydomek „Lucky Ship” - Statek Szczęśliwy). 10 grudnia transatlantyk wyszedł w składzie konwoju KMF-4 z Algieru i 22 grudnia dotarł do Gourock.

W pierwszym kwartale 1943 roku „Batory” jeszcze dwukrotnie wyruszał z Gourock do Algieru, przewożąc oddziały wojska. Następny kwartał spędził na przygotowaniach do inwazji na Sycylię. 28 czerwca wyruszył z Gourock w składzie konwoju KMF-18, mając na pokładzie 1843 żołnierzy, których wyokrętowano 10 lipca koło przylądka Passero na Sycylii. Jeszcze tego samego dnia nasz transportowiec odszedł na Maltę, skąd następnego dnia wyszedł w konwoju do Aleksandrii. W trakcie tej podróży miał kolizję z holenderskim statkiem pasażerskim „Christiaan Huygens”. Stracił w niej swój tzw. galion (ozdobę dziobu), w związku z czym 15 lipca został w Aleksandrii zadokowany, a 29 lipca wyruszył na remont do Bombaju. Po trzymiesięcznym remoncie, od 26 listopada 1943 roku „Batory” wiozł ludzi (w tym wielu obywateli polskich) po wodach Oceanu Indyjskiego.

W połowie stycznia 1944 roku transportowiec powrócił na Morze Śródziemne, gdzie odbył jedenaście podróży z żołnierzami 2. Korpusu Polskiego na trasie porty egipskie-Tarent. Przed wyruszeniem w pierwszą podróż, 19 stycznia 1944 roku, jed-



Fot. Archiwum Autora

nostkę wizytował generał Władysław Anders. 19 czerwca dowódcą „Batorego” został kapitan żegluga wielkiej Edward Pacewicz 28 lipca „Batory” wyruszył z Aleksandrii w ostatnią, dwunastą podróż z polskimi żołnierzami do Tarentu. 9 sierpnia rozpoczęto okrętowanie żołnierzy francuskich, mających wziąć udział w inwazji w południowej Francji. M/s „Batory” został flagową jednostką głównodowodzącego wojsk francuskich, gen. Jeana de Lattre de Tassigny. Desant wysadzono 16 sierpnia pod Saint-Tropez, po czym jednostka udała się do Oranu.

Od 12 września, przez kolejny miesiąc „Batory” odbył trzy podróże z wojskiem (z Oranu lub Neapolu) do Marsylii. 15 października wyszedł z Algieru w konwoju do południowej Anglii z transportem 1800 żołnierzy. 22 października w Plymouth na statek zaokrętowano dyplomatów państw alianckich, akredytowanych przy rządzie francuskim. Zeszli na ląd następnego dnia, w ujściu rzeki Morlaix. Następnie w Glasgow „Batory” poddany został remontowi, który zakończył się 14 grudnia. W jego trakcie, 9 listopada na statek powrócił jego dowódca - kapitan żegluga wielkiej Zygmunt Deyczkowski. 19 grudnia „Król” wyszedł z Glasgow w konwoju do Indii z brytyjskimi urzędnikami, których wyokrętowano 11 stycznia 1945 roku w Bombaju. 14 stycznia wyszedł w konwoju z Bombaju do Mombasy, a stamtąd przez Morze Śródziemne powrócił do Gourock, gdzie zainwazował 20 lutego 1945 roku.

Wojna powoli dobiegała końca, lecz statki musiały jeszcze długo likwidować jej skutki, rozwозяc wojska do ich krajów. Uczestniczył w tym też i „Batory”. Zrobił wiele rejsów, głównie na Morzu Śródziemnym, gdzie w dziesięciu odwoził wojska. Do Anglii powrócił na Gwiazdkę 1945 roku, na kolejny remont. Wtedy też opuścił statek kapitan Zygmunt Deyczkowski, kończąc swą znakomitą i szczęśliwą służbę wojenną, a nowym dowódcą został kapitan Franciszek Szudziński, pełniąc te obowiązki do końca wojennej kariery „Batorego”.

Wojciech M. Wachniewski
Słupsk



Fot. A. Wróblewski

Zarabianie przez internet

Zdarza się, że zafascynowani kolorowymi obrazkami, często obietnicami bez pokrycia, podejmujemy pochopne kroki, które mogą okazać się nieodwracalne.

Na wstępie muszę przeprosić naszych czytelników, że tak długo zwlekałem z napisaniem tego artykułu, pomimo zapowiedzi w lipcowo-sierpniowym numerze pisma. Temat jest kontrowersyjny i trzeba wielkiej ostrożności i rozeznania w podjęciu decyzji. Co to takiego? Zarabianie w internecie.

W mailach czytelników kilkakrotnie padło pytanie: czy to prawda, że da się dodatkowo zarobić, najlepiej pracując przez cztery dni po cztery godziny? Postanowiłem przyjrzeć się temu zagadnieniu. Okazało się, że zjawisko zarabiania przez internet jest bardzo rozreklamowane. Po wpisaniu w wyszukiwarkę słów „zarabianie przez internet” otwiera się sporo stron oferujących różnorodną pracę. Po przejrzaniu ofert nie dziwię się na-

szym czytelnikom, że można dostać zawrotu głowy od kuszących propozycji. I człowiek już się zastanawia: jak bym się czuł w tym „wypasionym” samochodzie lub w domu nad brzegiem oceanu? Przestrzegam przed podejmowaniem decyzji w takim momencie. Zdarza się, że zafascynowani kolorowymi obrazkami, często obietnicami bez pokrycia, podejmujemy pochopne kroki, które mogą okazać się nieodwracalne.

Pierwsza zasada: nie ma nic za darmo! Ekonomisci mówią, że „nie ma obiadu za darmo”. Prędzej czy później trzeba będzie zapłacić, w takiej czy innej formie. Jedna z czytelniczek pisze: „Chciałam sprzedawać produkty spożywcze jednej z firm. Przedstawiono mi na początku tabele zarobków i dokładnie mogłam prze-



liczyć, ile zarobię przy 5, 10, 15 prezentacjach - spotkaniach dziennie". Tak, zgodzę się, że jest to uczciwe postawienie sprawy. Wszystko jest jasne, oprócz jednej małej kwestii, na którą pani ta nie zwróciła uwagi. To liczba codziennych spotkań. Wiem, że kiedy się liczy przyszłe zarobki, człowiek często sam sobie buduje przeróżne wizje. Czy realne? Przygotowanie jednego spotkania - prezentacji wymaga poświęcenia czasu - na dotarcie na miejsce spotkania, na prezentację, rozmowy z klientami, rozłożenie i złożenie ekspozycji itd. Średnio ok. 1,5 - 2 godzin, nie licząc wcześniejszej informacji i reklamy o spotkaniu. A ile trwa doba? Czy rzeczywiście będziemy w stanie przygotować codziennie tyle spotkań?

Chciałbym zaznaczyć, że nie jestem przeciwny tego rodzaju sprzedaży, a w pewnych okolicznościach wręcz ją popieram. Ale ktoś zapyta, czy nie można też wzorem amerykańskich „komiwojażerów - handlowców” sprzedawać znajomym, sąsiadom itd.? Można, tylko z jakim efektem? Czy wszystko zależy od pomysłowości i zaangażowania? Żyjemy tu i teraz, i nasze nawyki są określone. W krajach anglosaskich sprzedaż bezpośrednia jest czymś naturalnym i jest traktowana normalnie, bez podtekstu. A jak to wygląda u nas? „Co tym

razem chcą mi wcisnąć, jakieś garnki, koce, dywany...” Przecież to oszustwo, sposób jak wykorzystać drugiego. Czy się bardzo mylę?

Na taki pogląd złożyła się działalność wielu agresywnych sprzedawców, ubezpieczycieli, którzy chcieli „wcisnąć” swój produkt za wszelką cenę. Nie będę przytaczał nazw produktów czy firm, bo każdy ma swoje doświadczenie. Zdarza się (sam jestem tego przykładem), że koleżanka zachwala swój produkt, i to na kilku spotkaniach. Dla świętego spokoju albo coś kupujemy, albo zrywamy wszelkie kontakty z taką osobą, a następnie unikamy jej. W naszej kulturze brakuje etyki takiej formy handlu, chociaż nie chciałbym wszystkiego generalizować. Spotykam się i z bardzo pozytywnymi sprzedawcami. Jakby nie było należy pamiętać, że podstawą każdego zarobku jest włożony wysiłek i działanie.

Druga zasada: czy nadajesz się do...? W swojej działalności spotykam się z osobami, które wykonują różne zadania i obowiązki. Czasem od razu widać, kto się do czego nadaje. Trudno osobę cichą i zamkniętą postawić na czele policyjnego oddziału szturmowego. Jednak można się tej umiejętności nauczyć. Podobnie jest z biznesem. Wiele osób sądzi, że potrafi sprzedawać, bo coś w tym trudnego. Niestety, nie jest tak do końca. Sprzedaż to cała filozofia i sposób postępowania.

Dlaczego tak chętnie wracamy do sklepu pana Franka, piekarni pani Zosi, baru pani Marii? Bo tam jest to coś, co sprawia, że chcemy tam robić nasze zakupy. Duże sklepy nie mają tego czegoś, a tam przeważnie też kupujemy? - zauważył ktoś. To prawda. Ale pani Zosia dokładnie zna nasze przyzwyczajenia i wie, co nam polecić. Poprzez wieloletnie zakupy powstaje swojego rodzaju więź, którą stanowi zaufanie w relacjach i wzajemne poszanowanie. Czy takie zależności istnieją w marketach lub u nieznanym sprzedawców?

Żeby sprzedawać, trzeba nauczyć się sprzedaży. Jest to sztuka taka sama jak każda inna: wykonywanie zawodu fryzjera, hydraulika, budowniczego. Jeżeli chcemy wejść w internetową sprzedaż, to wcześniej powinniśmy poznać sztukę tej sprzedaży. Zastanówmy się też, czy mamy plan działania i znamy sposoby realizacji zadania? Czy czujemy istotę handlu? Jeżeli

nie za bardzo, lepiej poświęcić czas na naukę i lekturę.

Trzecia zasada: nigdy nie ufajmy, zawsze sprawdzajmy. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Zanim cokolwiek zrobimy, sprawdźmy, jaki może być skutek naszej działalności. Ja, jeżeli słyszę: wpłać członkowskie lub dokonaj wpłaty, sprawdzam, ile czasu firma jest na rynku, czy ma oddziały w innych państwach? Kto stoi na czele i czy istnieje możliwość kontaktu z władzami firmy? Czy prowadzi cykliczne szkolenia, a przede wszystkim, jaka jest forma rozliczeń finansowych? Nie jestem przeciwny internetowej sprzedaży, powiem nawet więcej - sam działam w tej strefie. Jeżeli to, co robimy jest zgodne z naszymi przekonaniami i naszym światopoglądem, może przynieść nam wiele przyjemności. Jeżeli będziemy robić to zgodnie z etyką handlu i odpowiedzialnie, to tak się jakoś zadzieje, że ludzie sami odnajdą naszą usługę.

I postawmy przysłowiową kropka nad „i”. Czytajmy ze zrozumieniem to, co podpisujemy. Zwykle, kiedy podejmujemy jakąś decyzję, często momentalnie już czujemy się wielcy. Jakaś tam umowa, to dla nas tylko formalność... Jakże często przychodzi później rozczarowanie. Można to zwłaszcza zaobserwować w internetowym pośrednictwie pracy sezonowej. Przed podpisaniem umowy mówią nam, że jedziemy na wakacje, a nie do pracy, bo ona jest tylko dodatkiem.

Po przyjeździe na miejsce okazuje się, że nocleg trzeba wykupić, nie mówiąc o pozostałych kosztach. Praca - różnie z nią bywa, a zapłata - jest zawsze pomniejszona o należność dla pośrednika. Znam osoby, które nie dość, że nie zarobiły, to jeszcze musiały dołożyć. Przyczyna: nie czytamy umowy lub czytamy pobieżnie, bez zrozumienia.

Pierwszym sygnałem, że umowa kryje jakąś pułapkę jest nerwowość osoby, która daje nam ją do podpisu. Często jest też tak, że się bardzo spieszy lub nie może przekazać nam dokumentu do domu, do spokojnej analizy. Na słowa, że jest kilku następnych chętnych na tę umowę, powinniśmy od razu zareagować.

W swoim życiu wielokrotnie byłem wykorzystany i oszukany przez sprzedawcę różnych usług. Dlatego tym artykułem chcę przestrzec przed tym moich czytelników.

Mirosław Bętkowski, Słupsk

Na co uważać w sklepie

To już kolejna część opracowania poświęconego najpopularniejszym technikom wpływania na decyzje zakupowe konsumentów. W pierwszej i drugiej, zatytułowanej „Handlowców sposoby na wyciągnięcie pieniędzy” oraz „Co warto wiedzieć przed zakupami”, przybliżyłem działania marketingowe i sprzedażowe w zakresie: polityki cenowej, opakowania, tworzenia oferty, oddziaływania na zmysły, kreowania wizerunku marki. Teraz przedstawię kolejne obszary drobnych manipulacji, ukrytych metod perswazji i sprzedaży.

Opisane sposoby wpływania na zachowanie konsumentów, dla osób które pracują w handlu bądź marketingu, nie są niczym odkrywczym. Nie znaczy to jednak, że ktośkolwiek otwarcie się przyznaje do ich stosowania. Trudno się temu dziwić, w wielu przypadkach są to sztuczki, z których niekoniecznie należy być dumnym. A ich wykorzystywanie wynika z prostego faktu - działają.

Jak zostało już w wspomniane w poprzednich artykułach, najlepszym sposobem obrony przed „podejrzanymi” technikami sprzedawców jest wiedza i świadomość tego, jak niektóre procesy handlowe funkcjonują. Spoglądając na nie, nie tylko z punktu widzenia konsumenta, ale też poznając cele producenta, dystrybutora, sprzedawcy i marketera, oraz relacje jakie ich wiążą, można lepiej zrozumieć zasady panujące na rynku.

Punkt sprzedaży

Z punktu widzenia sprzedawcy, niezależnie czy jest to sklep tradycyjny, czy internetowy, ruch w sklepie nie jest czynnikiem, który odgrywa najważniejszą rolę. Osoby, które zostały zwabione do sklepu muszą przekształcić się jak najszybciej w klientów - i to najlepiej takich, którzy opuszczą sklep z pełnym koszykiem zakupów. Temu służą rozmaite zabiegi w zakresie wystroju pomieszczeń handlowych i sposób prezentacji towarów.

Złudzenie. Aby klient mógł spojrzeć na towar w lepszym świetle, przebiegalnie w sklepach odzieżowych projektuje się w taki sposób, aby konsument zobaczył siebie i towar z dobrej perspektywy. Odpowiednio dobrane oświetlenie oraz lustra są w stanie uwydatnić walory każdej kreacji. Efekty, jakie tam uzyskują ubrania i sylwetka są nie do powtórzenia w żadnych innych warunkach - wszystko wydaje się ładniejsze, a sami klienci



Fot. J. Maziejuk

w swoim odczuciu także jakoś szuplejsi i w ogóle. Identyczne zabiegi optyczne stosuje się też w supermarketach - jasne oświetlenie sprawia, że żywność wydaje się świeższa i bardziej przekonująca do zakupu.

Na stojąco

W wielu punktach usługowych, zgodnie z zamierzeniem ich właścicieli, zmęczony klient nie znajdzie miejsc siedzących, a jeżeli już mu się to uda, to nie zazna w nich większego komfortu. Cel jest jeden - obsługa ma przebiegać szybko: a jeżeli klient stoi to jest mniej skłonny do długich rozmów z obsługą, a to z kolei znacznie skraca kolejki.

Koszyki

Zazwyczaj w sklepach są dostępne albo małe koszyki albo już bardzo

duże wózki. Koszyk trzeba targać w rękę, natomiast biorąc wózek, trochę głupio jest wrzucić do niego zaledwie parę rzeczy - wydaje się on wtedy taki pusty i aż prosi, aby do niego coś jeszcze dołożyć. To jeden z najstarszych sposobów handlowców na zwiększenie średniej wartości zakupu

Rekomendacje

Różne techniki zwiększania naszego koszyka zakupów są stosowane także w sklepach internetowych. Strony z opisem produktów posiadają rekomendacje kolejnych towarów, które kupowali inni konsumenci właśnie oglądanego przedmiotu lub też w prawym górnym rogu ekranu otrzymujemy informację o tym, ile jeszcze musimy nabyć, aby mieć darmową przesyłkę. Klik, klik i zamiast jednej książki kupujemy 3. Jak się okazuje

ten wirtualny sprzedawca, który kieruje wobec użytkowników niezliczoną ilość komunikatów, może okazać się bardziej skuteczny niż ten realny w sklepie, któremu możemy podziękować i przestanie nam przeszkadzać.

Rozmieszczenie produktów

Nad sposobem poruszania się klientów w sklepach pracują analitycy przy pomocy coraz bardziej wyrafinowanych algorytmów. Celem ich pracy nie jest wygoda klienta, tylko wartość

kolorystyka opakowań przyciągała ich wzrok. Swego czasu jedno z badań wykazało, że średnio-statystycznie przy zakupach z dziećmi wydaje się 20-30 proc. więcej pieniędzy.

Sąsiedztwo

Handlowcy wysyłani przez producentów do sklepów także dbają o to, aby wybrane produkty były dobrze pozycjonowane, w tym także wobec tych konkurencyjnych. Gdy towar kosztujący 230 zł postavimy

mniany użytkownik powróci po paru dniach do tego samego sklepu, jest duża szansa na to, że to właśnie produkt X będzie właśnie przeceniony - a tę promocję będzie widział tylko ten konkretny użytkownik.

Zachowanie sprzedawców

Personel sklepowy trudno sądzić o obiektywizm, ale stopień, w jaki niektóre osoby są w stanie przekłamywać rzeczywistość, zasługuje na „podziw”. Należy jednak pamiętać, że w większości przypadków stykamy się z pomocą i wsparciem ze strony pracowników sklepu, a wszelkie wyjątki mają charakter incydentalny. Ale przez to, że do gry wkraczają wtedy emocje, zapamiętujemy takie sytuacje na dłużej i wydaje się nam, że zdarzają się często. Oto przykłady wybranych, starannie przewidzianych zachowań ze strony sprzedawców.

Wszystko jest idealne

Punkt handlowy może być miejscem, gdzie można się nieźle podbudować. W oczach większości sprzedawców wszystkie ubrania leżą na nas idealnie, a każdy kolejny nasz wybór jest wg nich objawem naszego geniuszu. Gdy coś się nam nie podoba, to im też się nie podoba, ale gdy mamy tylko wątpliwości - to wtedy zaczynają już aktywnie działać, aby one zniknęły.

Nadmierna służebność

W niektórych sieciach sprzedaży (zwłaszcza tych z droższymi towarami) wystarczy tylko, że klient zatrzyma wzrok na jakimś ubraniu, aby w 10 sekund został wyręczony w poszukiwaniu rozmiaru - nie szkodzi, że chciał on się tylko rozejrzeć. Dodatkowo w ciągu kolejnych 10 sekund towar już będzie na niego czekał w przebieralni. Jest to dobry przykład wywierania ukrytej presji przez sprzedawców. Ideę tej techniki z punktu widzenia handlowego można streścić następująco: „nie po to za tobą biegam, żebyś nic nie zakupił. A że przy okazji nie daję ci czasu do namysłu to nic, sklep jest w końcu do robienia zakupów, a nie do myślenia.”

Pseudo-eksperti

Nie wszyscy pracownicy krążący po alejkach sklepów RTV/ AGD, budowlanych lub innych, to specjaliści w swoich dziedzinach. Fakt



jego koszyka. Optymalizowane jest praktycznie wszystko - od rozmieszczenia poszczególnych kategorii produktów w sklepie, jak i układ towarów na półkach. Główna zasada jest taka - produkty na wyciągnięcie ręki są tymi „rekomendowanymi” przez sklep. Po tańsze produkty trzeba się schylić, a po te najczęściej potrzebne - nachodzić.

Dzieci

Najmłodsi klienci zajmują specjalne miejsca w sercach handlowców, to ich impulsowe zachowanie ma w dużej części wpływ na uzyskiwane przez nich prowizje. A z dobrą pensją na koniec miesiąca zawsze lżej na wspomnianym sercu. Wystarczy zadbać tylko o to, aby produkty znalazły się na wysokości oczu młodocianych manipulatorów, a odpowiednia

obok podobnego za 310 zł, wtedy wyda się on bardziej ciekawy, niż gdy pojawi się on obok innych w podobnej cenie do niego.

Automatyczne dopasowanie ofert

Sklepy internetowe coraz częściej wykorzystują systemy, które umożliwiają im tworzenie dynamicznych treści na stronie. Na podstawie pliku cookie zostawianym na komputerze użytkownika, można przedstawić mu tylko takie oferty, którymi może być on najbardziej zainteresowany. Jeżeli ktoś odwiedził stronę z produktem X, wtedy ten produkt będzie go już prześladował do końca przebywania w sklepie, a poprzez tzw. remarketing, także na innych stronach poprzez reklamy Google. Jeżeli wspo-

tego, że się tam właśnie znaleźli to często zwykły przypadek. Zatem ich rekomendacje nie wynikają z doświadczenia i wiedzy fachowej, lecz są zazwyczaj pochodną aktualnej polityki sieci wobec poszczególnych producentów. Raz opłaca się im sprzedawać produkty firmy X, raz produkty firmy Y. Za tym idą oczywiście odpowiednie gratyfikacje (imprezy, gadzety, „programy lojalnościowe”), które dostają sprzedawcy od firm za polecenie „tych właściwych” produktów.

Zarządzanie informacją

Obecnie sklepy korzystają z różnych kanałów komunikacji (ulotki rozdawane na ulicach, internet, email marketing, outdoor). Niejednokrotnie dochodzi do sytuacji, że o wszystko trzeba się dopytywać. Jeśli nie wspomni się o specjalnych warunkach, o których się dowiedziano np. z gazetki, wtedy w żaden sposób takiej informacji nie uzyska się w samym sklepie. Podobna sytuacja ma miejsce także na infoliniach. Przykładowo, jeżeli konsument przed rozmową nie zapozna się ze stroną internetową firmy, to może okazać się, że najtańsza opcja internetu kosztuje 80 zł, a nie 60 zł, jak jest w rzeczywistości. Konsultant telefoniczny ma swoje cele i progi prowizyjne, które musi zrealizować. Nie może on sprzedawać tylko najtańszych opcji, w rezultacie szczerze informowanie o pełnej ofercie nie leży w jego interesie.

Wyreżyserowana grzeczność

Coraz częściej już przy samym wejściu do punktu handlowego jesteśmy witani przez obsługę lub ochroniarzy. W większości przypadków nie wynika to z ich kultury osobistej, tylko z polityki sklepu. Ma być miło i przyjemnie. Z drugiej strony proste „dzień dobry” przy wejściu zmniejsza skalę kradzieży. W podobny sposób działają kelnerki i kelnerzy, którzy mają swoje sposoby na zwiększenie wartości napiwków. Coś, co wydaje nam się przypadkowe i skierowane tylko do nas, w gruncie rzeczy jest zaplanowanym i przećwiczonym działaniem.

Prawo prawem, ale...

Sprzedawca nie jest od tego, aby edukować konsumenta, w jego prawach. Ale już co innego oznacza przemilczenie prawdy, a co innego zwodnicze i niezgodne z prawem odpowiedzi.

Prawa konsumenta

Przepisy prawne w dosyć jasny sposób precyzują, jak należy postępować w przypadku odstąpienia od umowy, zgłoszenia towaru do reklamacji, skorzystania z gwarancji. Niewiedza konsumentów w tym względzie powoduje jednak, że sprzedawcy pozwalają sobie na własne interpretacje przepisów. Mówiąc brutalnie - kłamią. I lepiej samemu zapoznać się z przysługującymi nam prawami, niż zdywalać się na informacje usłyszane w sklepie. To, że sklepikarz mówi, że w jego lokalu obowiązują takie, a nie inne zasady, które mogą przybrać formę nawet regulaminu, wcale nie oznacza, że nie można ich zakwestionować.

Lista klauzul niedozwolonych, które są publikowane przez UOKiK, liczy obecnie ponad 5000 pozycji. Popularne przekłamania ze strony sprzedawców dotyczą: nieinformowania o pełnej cenie produktu lub usługi; ograniczania praw konsumentów wynikających z powszechnie obowiązujących ustaw - stosowania niezgodnych z prawem zapisów w umowach; nieuprawnionego odsyłania klientów do serwisu, gdy ten chce skorzystać z gwarancji sprzedawcy; nieinformowania o możliwości odstąpienia od umowy zakupu, zawartej poza punktem handlowym; nieprawidłowego powiadamiania o zmianach w umowie w czasie jej trwania; wystawianie do sprzedaży nowych towarów na allegro w formie licytacji (kończonej np. 1 godz. od ostatniego zgłoszenia chęci zakupu), aby ominąć w ten sposób możliwość odstąpienia od umowy (aktualizacja! zgodnie z nowymi zasadami obowiązującymi od 25 grudnia 2014 roku, konsument ma prawo odstąpić od umowy także w przypadku towarów zakupionych w drodze licytacji na Allegro).

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik
Konsumentów

Targi Ogrodnicze

Tegoroczne Wiosenne Targi Ogrodnicze w Słupsku po raz pierwszy zorganizował Pomorski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Lubaniu, chociaż wcześniejsze ich edycje w Słupsku i Strzelinie organizował miejscowy oddział ODR. Imprezie towarzyszyła słoneczna pogoda i ta pewnie sprawiła, że imprezę odwiedziły tłumy zwiedzających.

Targi odbyły się 1 i 2 kwietnia, przyjechało na nie ponad 150 wystawców z różnych regionów kraju. Najlicniejszą grupę wystawców stanowili producenci drzew i krzewów ozdobnych oraz owocowych. Były m.in. stoiska: Adama Dargacza z Łękwicy, Gospodarstwa Szkółkarskiego państwa Szymańskich z Rusinowa, Ireny Cierzan z Karsina, Michała Gąstała z Piskowa, a także Michała i Teresy Siudów, prowadzących gospodarstwo ogrodnicze w Bartoszymlesie. W tym roku bardzo liczną grupę wystawców stanowili producenci i handlowcy oferujący cebule kwiatowe. Oferta była bogata, a ceny niewygórowane.

Nie zabrakło stoisk oferujących produkty i narzędzia do uprawy i pielęgnacji roślin - z kosiarkami, opryskiwaczami, nawozami mineralnymi, naturalnymi i ziemią ogrodniczą. Nie brakowało rękodzieła ludowego. Można było też nabyć miody i inne produkty pszczele. Swoje wyroby promowały również firmy, wykonujące bramy i ogrodzenia oraz producenci kotłów ekologicznych. Przyjechali też wystawcy z artykułami gospodarstwa domowego, odzieżą i obuwiem. Stoiska spożywcze serwowały ciepłą kaszanke, szaszłyki, chrupiące ziemniaczki, a na deser gofry z owocami i prażone orzeszki. Powodzeniem cieszyło się stoisko z winami ekologicznymi.

Porad z dziedziny ogrodnictwa i rolnictwa udzielali tradycyjnie specjaliści ODR, a także Koszalińskiej Stacji Chemiczno-Rolniczej, ci ostatni również bezpłatnie dokonywali analizy próbek gleby dostarczanej przez rolników.

Prezes Regionalnego Koła Pszczelarzy w Słupsku, Zbigniew Wiąckiewicz z małżonką, prezentowali ule i nowoczesny sprzęt, niezbędny do prowadzenia pasieki oraz najnowszą linię technologiczną do wybierania miodu. Nauczyciele i uczniowie Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku promowali swoją szkołę i zachęcali uczestników targów do udziału w realizowanym ekologicznym projekcie „Czas na zdrowie”.

W niedzielę podsumowania targów dokonał Wiesław Zigert - dyrektor PODR Oddziału w Słupsku. Ogłoszono wyniki konkursów na „Najciekawszy produkt targowy” oraz konkursu „Potrawy z jajami”.

Alicja Staciwa, PODR Oddział w Słupsku



XLIX WIOSENNE TARGI OGRODNICZE

SŁUPSK, KWIECIEŃ 2017



Zdjęcia: J. Maziejuk

